

Dziś w namerze: ● Pierwszy EKS ● Adenauer w świetle swych pamiętników  
● 1 Maja ale przed wojną ● Ochotnik wolności ● O Festiwalu Poezji  
● Wiersze ● Recenzje ● Felietony ● Polonica

# odgłosy



Nr 17 (431)  
30. IV. 1967 r.  
10 stron  
Cena 1 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK X

MGR EDWARD KAŹMIERCZAK

## WIELKA PRZEBUDOWA

Lódź, jedno z największych miast przemysłowych w Polsce, dziś duży ośrodek naukowy i kulturalny, z małej — posiadającej wprawdzie już od 1423 r. prawa miejskie, lecz niewiele znaczącej osady — wyrosła w niespełna sto lat na półmilionowe miasto przemysłowe. (W 1821 r. Lódź liczyła 799 osób, a w 1913 — 506 tys. mieszk.).

Rosło miasto i jego znaczenie. Nigdy jednak w przeszłości nikt o to miasto więcej nie zadbał, aniżeli wymagała tego sfera interesów przemysłowych. I pod kątem tych interesów na Lódź patrzono. Rodziły się tu szybko wielkie fortuny z niewielką korzyścią dla tych, z wysiłku których powstawały — robotników. Interes kapitalistycznego przemysłu kształtował zabudowę miasta z pogwałceniem elementarnych zasad urbanistyki, nie licząc się ze społecznymi potrzebami ludności, ze szkoda na długie lata dla jego prawidłowej funkcji. Zupełny brak troski o rozwój podstawowych urządzeń sanitarnych stworzył niezdrowe warunki zdrowotne dla tego wielkiego skupiska ludzi. Obok pałaców i luksusowych willi przemysłowców — lokowały się tandetne czynszówki i domy rodzinne. Klasowy charakter sprzeczności prowadził do konfliktów społecznych. I dlatego w tej „Ziemi Obiecanej” nie zawsze interesy tych, którzy je prowadzili, układały się po ich myśli. Było to następnym zmniejszającym się uległości wyzyskiwanych robotników.

Z tych właśnie względów kłopotliwe i nie lubiane było to miasto. Nie lubiane, brzydkie i cuchnące. Nikomu bowiem nie leżało na sercu akurat to kłopotliwe miasto upiększać, czynić je czystym i zdrowym. Tak było przez wiele lat.

Również okres 1918—1939 nie przyniósł Łodzi takich zmian, które by w sposób zasadniczy rozwiązały trudności ekonomiczne i komunalne miasta. Przemysł włókienniczy, leżący u podstaw rozwoju Łodzi utracił swą pierwotną siłę oddziaływania. Przyczyna tego była zwłaszcza poważna dewastacja zakładów w okresie wojny światowej 1914—1918 oraz utrata dawnych rynków zbytu na Wschodzie. Natomiast takie wówczas czynniki sprzyjające rozwojowi produkcji włókienniczej, jak powojenna chłonność rynku i wpływająca na potaniecie kosztu robocizny inflacja, dotkliwie podgaca w materialne podstawy ludzi pracy, były wprawdzie dla przemysłu korzystne, lecz wybitnie koniunkturalne. Zresztą ogólnie niebomyślna sytuacja gospodarcza kraju w latach międzywojennych powodowała, że krótkie okresy ożywienia produkcji przemysłu lekkiego kończyły się kryzysem. Przemysł włókienniczy w Łodzi w latach międzywojennych nie tylko nie rozwijał się, lecz nawet nie wykorzystywał w pełni posiadanych możliwości produkcyjnych.

Taki stan rzeczy nie sprzyjał rozwojowi Łodzi i rozwiązywaniu narosłych od lat jej zawilgłych problemów komunalnych. Nie uległy poprawie warunki mieszkaniowe ludności. Ruch budowlany był stosunkowo niewielki, a struktura budownictwa wyjątkowo niekorzystna. Tylko bowiem około 1/3 izb z nowego budownictwa obejmowała lokale o względnie odpowiednim standardzie. Na resztę składały się mieszkania, które były tworem rozwijającego się z konieczności dzikiego tzw. bieda budownictwa.

Nie więc dziwnego, że przy takiej sytuacji mieszkaniowej, warunki zdrowotne ludności Łodzi były fatalne. Potęgowała je uczaiwość przemysłu usytuowanego na ogół wewnątrz zwartej zabudowy mieszkaniowej, brak wodociągu komunalnego, nie ujęte w kanały ścieki (kanalizacja była w początkowym stadium budowy). Stąd też Lódź była siedliskiem gruźlicy i wszelkich epidemii, które zbierały tu bogate żniwo.

Lódź w 1945 r., w momencie wyzwolenia, była tylko pozornie miastem niezniszczonym. Prawda jest, że ominęły ją straty wynikające z bezpośrednich działań wojennych, ale prawdą jest również, że polityka eksterminacyjna i rabunkowa gospodarka okupanta wyrządziły miastu i jego ludności niepowetowane szkody. W dzielnicach Bałuty i Stare Miasto okupant zrównał z ziemią setki domów mieszkalnych o łącznej liczbie około 70 tys. izb.

W pamiętnych dniach stycznia 1945 r., kiedy Lódź została wyzwolona, przed nowo organizującymi się władzami stanęły trudne zadania.

Pojęły je masy pracujące, przejmujące w swoje ręce gospodarkę w mieście. Ruszyły fabryki i zakłady użyteczności publicznej. Rozpoczął się nowy etap rozwoju miasta.

W pierwszym okresie powojennym do roku 1955, obejmującym lata planu trzyletniego i sześcioletniego, główny wysiłek skoncentrowany został na usunięciu zniszczeń okresu wojny oraz dokonanie zmian wynikających z podstawowych zadań nowego ustroju. Przez przyłączenie podmiejskich osiedli robotniczych i sąsiadujących terenów rolniczych powierzchnia miasta wzrosła z 5875 ha do 21.431 ha, tzn. blisko czterokrotnie. Liczba mieszkańców z niespełna 330 tys. osób w chwili wyzwolenia wzrosła do blisko 675 tys. w 1955 roku. Ostatnie lata planu 6-letniego przyniosły Łodzi znaczniejszy wzrost nakładów inwestycyjnych. Na te lata przypada początek rozwoju na większą skalę budownictwa mieszkaniowego. Poważniejsze środki wydatkowane na remonty budynków.



JAN KOPROWSKI

(IV)

### KARTKI z podróży

## MOSKWA i LENIN GRAD

Przyjechałem do Moskwy po raz pierwszy w życiu. Po raz pierwszy w życiu znajduję się w kraju, którego stolica jest Moskwa. Mam w pamięci przeczytane książki o Rosji, wspomnienia ludzi, którzy tu byli, informacje z gazet, radia i telewizji. Niedawno wróciło z ZSRR dwóch moich znajomych. Jednemu z nich prawie wszystko się podobało, drugiemu — prawie nic się nie podobało. Zapewne obaj się mylą. Chcę przyjrzeć się temu miastu i jego mieszkańcom, chcę zdobyć wiedzę o tym kraju możliwie prawdziwą i bezstronną. Doświadczenie uczy, że nikt nie może niczego odkryć za nas dla nas. Każdy człowiek odkrywa świat dla siebie, chociaż świat ten został już sto, tysiąc i milion razy odkryty przez innych. Ale oczy innych nie są naszymi oczami. Nasze oczy są tylko dla nas, tak jak oczy innych są tylko dla nich.

Początek marca 1967 roku. Od granicy jedziemy przez zaśnieżone tereny. Śnieg pod Moskwą i śnieg w Moskwie. Chłodno. Dobrze, że wziąłem kożuszek. W Polsce już wiosna, ale tu jeszcze zima. Moskwa robi

wrażenie swoim rozmachem. Szerokie ulice, wielkie budowle, imponujące metro. Prawda, że stacje metra, które budowano w okresie fasadowości, przeladowane są rzeźbami, swoistym barokowym zdobnictwem, kapią od nadmiaru pozłót i fresków. Ale najważniejsze, że metro rozwiązuje znakomicie problem komunikacji w tym blisko siedmiomilionowym mieście. Codziennie przez stacje metra przepływa dwa miliony ludzi. W godzinach szczytu ruch w podziemiu taki, że można postawić się tylko z prądem, nie sposób — przeciwko niemu. Metro, zbudowane na głębokości pięćdziesięciu, a na niektórych odcinkach — stu metrów, w czasie wojny służyło doskonale za schrony przeciwlotnicze dla ludności Moskwy. W momentach największego zagrożenia ze strony Niemiec hitlerowskich, tutaj właśnie, na jednej ze stacji metra, odbywały się posiedzenia rządu i Komitetu Centralnego.

Pierwszy dzień poświęcamy na zorientowanie się w planie miasta. Ho, tel „Pekin”, w którym zamieszkałszy, położony w samym sercu

Dalszy ciąg na str. 5

Dalszy ciąg na str. 3



# ZE ŚWIATA

W poniedziałek, z udziałem 25 delegacji, rozpoczęła się w Karłowicach Varach narada europejskich partii komunistycznych i robotniczych. Inicjatywa jej zwolnienia zapadła w maju ub. roku na spotkaniu przedstawicielstw partii komunistycznych zachodniej Europy w Wiedniu. Po konsultacji wstępne rozmowy powierzone Francuskiej Partii Komunistycznej i Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Odbity się też dwa posiedzenia komisji redakcyjnej, przygotowującej materiały na konferencję: jedno w dniach 22-26 lutego, drugie - bezpośrednio poprzedzające naradę. Jak już pisaliśmy w jednym z wcześniejszych komentarzy, tematem konferencji jest bezpieczeństwo europejskie.

Europa - rozległy kontynent, stanowiący 6,3 proc. wszystkich lądów kuli ziemskiej, najgęściej zaludniona, ale przecież daleko ustępująca ludności Azji, kontynent, na którym istnieje 32 państwa - ówczynie w ciągu ostatniego półwiecza była przyczyną wojen światowych. Pierwsza z nich dotknęła ok. 62 proc. ludności świata, druga - już 80 proc. Przypomnienie tylko tych dwóch liczb jest dostatecznym uzasadnieniem, dlaczego problem bezpieczeństwa europejskiego powinien znajdować się w centrum uwagi. Są jednak i dodatkowe względy - to właśnie w Europie w największej bliskości znajdują się dwie najpotężniejsze armie świata: ZSRR i USA i to właśnie w Europie bezpośrednio stykają się strefy wpływów dwóch największych ugrupowań: Paktu Atlantycznego i Układu Warszawskiego.

Tuż po ostatniej wojnie wydawało się, że wreszcie powstają warunki do stworzenia systemu zbrojowego bezpieczeństwa. Pokonany został przeciwnik hitlerowski, a zwycięskie kraje zdecydowane były nigdy nie dopuścić do odrodzenia niemieckiego militarysty. Rychło jednak okazało się, że w rękach mocarstw imperialistycznych militarysta niemiecki ma wyznaczone wcale niebagatelne miejsce. I oto między Łabą a Renem znów ukształtowało się niebezpieczne dla europejskiego pokoju państwo, które - co więcej - w 1954 roku włączono do atlantyckiego systemu NATO. Cele, jakie od początku istnienia tego ugrupowania przyznawali jego działalnicy, były drożdżami dla rozwoju zachodniemieckiego militarysty. Problem europejskiego bezpieczeństwa nie tylko więc zachował, ale i podniósł swą aktualność. Toż od lat trwają zabiegi krajów socjalistycznych, aby doprowadzić do jego ustanowienia. Temu też podporządkowywano tzw. kroki częściowe, a wśród nich polskie inicjatywy stworzenia w centrum Europy strefy bezatomowej, zamrożenia zbrojeń, czy też zwolnienia ogólnoeuropejskiej narady państw na temat bezpieczeństwa.

Zagadnieniem w sposób kompleksowy zajęto się na bukarsztęjskim posiedzeniu Doradczego Komitetu Politycznego Państw - Sygnatariuszy Układu Warszawskiego w ub. roku. Przyjęte tam dokumenty przedstawiają wizję Europy pokojowej i współpracującej, kreśląc na trzech płaszczyznach drogi do tego prowadzące. Narada w Karłowicach Varach jest zatem jak gdyby kontynuacją tamtego spotkania - jednak w szerszym gronie. Jej celem jest opracowanie wspólnego programu ruchu robotniczego w walce o bezpieczeństwo Europy, uzgodnienie działań w tym kierunku. Jest to pierwsze tego rodzaju spotkanie europejskich partii komunistycznych i robotniczych. Nic przedziwnego, że budzi najwyższe zainteresowanie na całym świecie.

Idea bezpieczeństwa znajduje sobie na naszym kontynencie coraz liczniejszych zwolenników. Niektóre kraje zachodniej Europy poszukują alternatywy dla anachronicznego modelu „paz amerykański”, u podstaw którego leżało „zagrożenie komunistyczne”. Strach przed „komunistyczną agresją”, który w pierwszych latach po wojnie był spoiwem atlantyckiej jedności, przestał już być motorem działania. Awanturizm polityka Stanów Zjednoczonych, które raz po raz w jakimś rejonie świata interweniują zbrojnie, rodzi lęk przed uwikłaniem krajów zachodniej Europy w jakąś szerszą międzynarodową hecę. Jeśli się jest sojusznikiem Stanów Zjednoczonych można być wciągniętym w niebezpieczne konflikty, nawet wbrew swej woli. Wzmagają się tendencje do samodzielności, które poszukują rozwiązań poza paktem północnoatlantyckim, w którym zresztą na swego pierwszego partnera Stany Zjednoczone pasowały NRF.

Tym trzeba tłumaczyć bunt Francji w NATO, zwiększone zainteresowanie współpracą z krajami socjalistycznymi Włoch, jawną ewolucję w polityce W. Brytanii, powiększającą się zbieżność poglądów na wiele spraw między nami a krajami Skandynawii.

Są więc warunki do podjęcia z nową siłą zagadnienia bezpieczeństwa.

Ma ono także - co koniecznie trzeba podkreślić - jak największy związek z wojną wietnamską, walką, jaką o prawo decydowania o swoim losie, prowadzi naród wietnamski. Kto tego nie rozumie, kto twierdzi, że forsowanie europejskiego bezpieczeństwa sprzyja „zaczyszu”, jakie pochłonięte Azją Stany Zjednoczone chciałyby mieć na naszym kontynencie - ten nie rozumie wagi problemu. Nie rozumie, że takie bezpieczeństwo osłabi pozycję USA i wzmocni siły antyimperialistyczne, a tym samym będzie pomocne dla walczącego Wietnamu. Znaczenie narady w Karłowicach Varach wykracza więc poza Europę.

W. SŁAWSKI

# KRONIKA TYGODNIA

W dniach od 1 czerwca do 15 lipca Francja przeprowadziła nową serię prób nuklearnych na Oceanie Spokojnym. Tym razem dokonane zostaną próby małych bomb atomowych, które mają służyć jako zapalniki do pierwszej francuskiej bomby termojądrowej.

W stolicy NRD, Berlinie, obradował VII Zjazd Niemieckiej Socjalistycznej Partii Jedności. I sekretarzem KC SED wybrany został ponownie Walter Ulbricht.

Na ekrany kin pekińskich wszedł film pt. „Przewodniczący Mao jest czerwonym słoncem w naszych sercach”. Film ilustruje fragmenty rewolucji kulturalnej, a w szczególności wielkie manifestacje na placach Pekinu, w których brali udział Mao Tse-tung i Lin Biao. W recenzjach poświęconych temu filmowi agencja Sinhua pisze, że „masy wyrażają w nim żywiołową miłość w połączeniu z gorącymi żanami uwielbienia i szacunku dla Mao, który wciąż znajduje się w doskonałym zdrowiu”.

Amerykański miesięcznik „Harpers Magazine” - reprezentujący kółka intelektualnej elity, zamieścił artykuł stwierdzający, iż gwałtowne rewolucje w większości krajów Ameryki Łacińskiej są przypuszczalnie nieuniknione bez względu na postępowanie Stanów Zjednoczonych.

Przed ambasadą radziecką w Pekinie pokazano się ponownie antyrządzieckie plakaty i hasła.

A. Solżenicyn o roli pisarza: „Dzięki swojemu widzeniu świata i dzięki intuicji, pisarze wcześniej od innych odkrywają wiele zjawisk życia społecznego. Widzą je często z nieoczekiwanej strony. Na tym właśnie polega talent. Z posiadania talentu płynie zaś obowiązek. To, co pisarz dostrzega a zwłaszcza, to co jest objawem chorobowym, co budzi niepokój, musi oznajmić społeczeństwu... Zajmuje się u nas niekiedy stanowisko, że literatura powinna w upiększający sposób pisać o tym co będzie jutro. Przecież to jest fałsz, taki punkt widzenia usprawiedliwia kłamstwo. I taka literatura jest zabiegiem kosmetycznym”.

W Belgradzie zakończył się proces publicysty i byłego

asystenta na Uniwersytecie w Zadarze, Michajło Michajłow oskarżonego o uprawianie wrogiej propagandy przeciwko Jugosławii za pośrednictwem ulotek i artykułów przesyłanych za granicę. Michajłow został skazany na cztery i pół roku ciężkiego więzienia.

Boński minister spraw zagranicznych Brandt oświadczył, iż w roku bieżącym „na pewno podjęte zostaną niektóre dalsze kroki na drodze normalizacji naszych stosunków z państwami Europy wschodniej i południowo-wschodniej”.



W LOKALU WYBORCZYM W NRF  
- Trzeba we właściwym czasie pomyśleć o przyszłości, przeciw każdej z nas ma rodzinę.

(Stern)

Amerykański tygodnik „US News and World Report” pisze iż po miesiącach trudnych Chińczycy zgodzili się na swobodny tranzyt radzieckiego sprzętu wojskowego przez terytorium Chin do Wietnamu Północnego. W myśl porozumienia przedstawiciele DRW mają przejmować transporty radzieckie już na granicy radziecko-chińskiej. „Amerykańskie wojska - pisze w komentarzu na temat powyższej informacji „Christian Science Monitor” - mogą stanąć w obliczu nowoczesnego arsenału bojowego ZSRR. Radzieckie rakiety zaczęły już być używane przeciwko nam na Południu. Wiadomo również, że gen. Westmoreland jest zaniepokojony faktem

w liczbach 1966 r.”, produkcja przemysłu radzieckiego w 1966 roku stanowiła nieco ponad 65 procent w porównaniu z produkcją USA. Dziesięć lat temu proporcja ta wynosiła 47 proc. Produkcja rolna natomiast wyniosła około 85 proc. produkcji amerykańskiej. Wydajność pracy w przemyśle ZSRR była natomiast w przybliżeniu dwukrotnie niższa niż w USA. W rolnictwie w latach 1961-65 proporcje te wynosiły 1:4, lub 1:5 na korzyść USA.

U Thant o konflikcie wietnamskim: Według mojego osobistego zdania, coraz bardziej zarysowuje się możliwość, że wojna wyjdzie poza granice Wietnamu.

W Pekinie pojawiły się plakaty oskarżające prezydenta Republiki Liu Szao-tsi i jego współpracowników o to, że w lutym 1966 chcieli dokonać wojskowego zamachu stanu, obalić Mao Tse-tunga i objąć władzę w kraju. Autorzy plakatów domagają się publicznego procesu Liu i kary śmierci.

Przewiduje się, że w 1970 roku Bułgaria wyprodukuje 100 tysięcy samochodów osobowych i ciężarowych.

Hawański dziennik „Granma” opublikował orędzie legendarnego rewolucjonisty kubańskiego majora Ernesto Guevary do narodów świata: „Che” pisze: „wszystkie nasze poczynania są okrzykiem wojennym przeciwko imperializmowi i wołaniem o jedność narodów przeciwko wielkiemu wrogowi rodzaju ludzkiego: Stanom Zjednoczonym... Jak bardzo świetlana i bliska byłaby przyszłość, gdyby dwa, trzy, wiele Wietnamów zakwitło na powierzchni globu”.

„Chicago Daily News”: Wyobrażenie jakie mamy o sobie - białego rycerza broniącego wolności przed komunizmem - w niczym nie pokrywa się z tym, jak widzą nas na świecie. W najlepszym razie uważają nas za naiwnych, a w najgorszym - żywiących zbrodnicze zamiary. Ci, którzy chcą sądzić o Ameryce łagodnie traktują nas jako imbecylnego ołbrzymia, którego mały mózg nie jest w stanie kontrolować ruchu kończyn i który gniewie na miążgę to, co ma być przedmiotem jego troski lub obrony... Nikt, z wyjątkiem nas samych, nie widzi w Stanach Zjednoczonych zjawisk demokracji.

Senator J. W. Fulbright oświadczył w wywiadzie prasowym, iż wobec złagodzenia napięcia w Europie Stany Zjednoczone powinny o polowę zmniejszyć liczebność swych wojsk stacjonujących na starym kontynencie.

Ozłonek prezydium KC ZKJ Krste Crvenkovski w artykule opublikowanym na łamach „Borby” i poświęconym problemowi życia Związku Komunistów Jugosławii oświadczył, że każdy ruch polityczny i każda partia, która chce dotrzeć do kroku biegowi historii, powinny po pewnym okresie swych działalności zrewidować własne pojęcie społeczne i platformę polityczną. Postulat ten - pisze jugosłowiański działacz partyjny - dotyczy również partii komunistycznych budujących swe koncepcje w oparciu o naukową metodę marksizmu.

# Nożycami przez PRASĘ

## TEN JEST Z OJCZYZNY MOJEJ...

To tytuł gnanego wiersza Słonimskiego, zapożyczony dla książki Władysława Bartoszewskiego i Zofii Lewińskiej „Ten jest z ojczyzny mojej - Polacy z pomocą Żydom 1939-1945”.

Te nad wzmą aktualna książka omawia m. in. „Prawo i Życie”. Książka przypomina wyłożone a bezowocne zabiegi o interwencje mocarstw sprzymierzonych oraz światowych organizacji żydowskich ze strony polskich i żydowskich organizacji podziemnych.

Świat pozostawiał te tragiczne apele jednak bez odpowiedzi. Zarówno rządy krajów zachodnich, jak i światowe organizacje żydowskie milczały, bo nie wierzyły, iż wiadomości przekazywane z Polski do Londynu są prawdziwe. Uznawano je za przesadną polską propagandę...

Pomoc dla Żydów przychodziła więc przede wszystkim i głównie od innych współwzięźniów Hitlera - od Polaków.

Książka przypomina, iż jedynie w okupowanej Polsce „za udzielanie pomocy Żydom (nawet za sprzedawanie żywności) oraz za ich ukrywanie groziła kara śmierci”. Mimo to tysiące Polaków ze wszystkich sfer społecznych podlegały śmiertelnej rzyko. Książka rejestruje liczne fakty, których zreszta nigdy w pełni nie da się wyzerpnąć. przedstawia różne formy pomocy narodowi najwcześniej skazanemu na całkowitą zagła-

de. Nie zmienić tej szlachetnej prawdy to, iż zdarzali się, a każde społeczeństwo ma swoje mety, codzienny szmalcownicy, szantażyści. Tę zresztą nie przemilcza nasza literatura.

I właśnie Polacy stali się obiektem ataków za rzekomo wrogie stosunek do Żydów. Przykładem patologicznej nienawiści może służyć choćby książka ośla wionego Jerzego Kosinowskiego „Malowany ptak”. Jej autor ocenił swoje życie właśnie w Polsce, na koszt polskiego społeczeństwa ukończył po wojnie wyższe studia w Łodzi.

Dziwi jedno: czemu tak późno doszło do publikacji książki „Ten jest z ojczyzny mojej”? Recenzent „Prawa i Życia” kończy swoje rozważania takimi uwagami:

Chcielibyśmy jak najszybciej recenzować drugie, popularne jej wydanie oraz wersje obojętne, nie, tak bardzo potrzebne, więcej - niezbędne konieczne.

W zakończeniu można wyrazić dumę z faktu, iż po słowach tytułu „Ten jest z ojczyzny mojej” każdy dodaje uzupełnienie - „z POLSKĄ”!

## KTÓRE SPRAWY WIELKIE? KTÓRE MAŁE?

Publicysta „Życia Literackiego” Tadeusz Robak, wkraczając na teren pracy naszych uniwersytetów i placówek naukowych, poddając zadziwienie tematyki i problematyki niektórych prac naukowych, nie ukrywa swojego za-

kłopotania. Zastrzega się, iż „atakowanie hermetyczności nauki jest rzeczą w naszych czasach bezsensowna: każdy na dobrą sprawę temat naukowy komuś z innej branży wydawać się może nadmiernie szczegółowy, marginalny, niepotrzebny”.

Istotnie, lubimy podziwiać z prac doktorskich w rodzaju „Badania nad techniką rwaną stanzii oburacz” lub „Zmiany karotenoidów w wybranych odmianach pomidorów oraz w koncentratów pomidorowych”.

Kto wie, może nawet jeszcze bardziej mogą nas ubawić badania nad zabawkami języka kinezjologicznego, piśmiennictwa mamełuckiego, językiem Gajguzów bułgarskich, choć „nie wszystkie nauki humanistyczne mają być tylko archeologią”.

Publicyście niepokoił własny przedmiot studiów - jest głównie przeszłość - „w wielu wypadkach prace te w niczym nie szukają kontaktu z żywym ruchem umysłowym i artystycznym, są zwrócone fakty do środka”.

Dodabym, iż warto pamiętać także o tym, że w naszych czasach wydarzenia i zjawiska sztywniej niż kiedykolwiek stają się przeszłością. Skracają się wydatnie okresy „nim się przedmiot świeży jak figa ucukruje jak tytuł ulęży”.

Jako przykład pozytywnej przytoczył T. Robak badania łódzkiego ośrodka filologicznego nad filmem i telewizją.

Nie jest chyba przypadkiem, że „Polityka” w tym samym czasie, poza wypowiedziami o pracach doktorskich, przyniosła duży artykuł o długu historyków, względem nowszych dzieł polskich. Henryk Zieliński wspomina o biografistyce, „poświęconej czolowym meżom stanu czasów najnowszych”, o problematyce mniejszości narodowych w Polsce międzywojennej, o dziełach parlamentaryzmu. Oczywiście, autor ma na uwadze poważne i obiektywne prace naukowe, nie zaś publikacje w rodzaju Stefana Arskiego o Piłsudskim.

## SZARADY W KODEKSIE

Cecha istotną biurokracji jest mnożenie przepisów i zarządzeń, często nawet wzajemnie się wykluczających, a przede wszystkim tworzących swolasty labirynt, w którym i najtępsze głowy z trudem mogą się rozszarpać. A cóż dopiero mówić o U. P. czyli urzędnikach pospolitych? „Tygodnik Kulturalny” przypomina, iż Ministerstwo Finansów wydało zbiór przepisów liczący 207 stron.

Sytuację pogarsza jednak fakt, że przepisy ulegają ciągłym zmianom, uzupełnieniom. Znaczący to, że z dnia na dzień owa książeczka staje się mniej przydatna. Zwłaszcza że nowe przepisy nie przytaczają całego aktu prawnego w nowej, zmienionej wersji, ale zawierają na ogół tażennicze dla przeciętnego śmiecielnika, a zawiłe dla przeciętnego urzędnika sfery mutowania.

Jak się podobne przepisy uzupełniają? Podajemy, że przyszedł początek zarządzenia z 4 marca 1966 roku: „Na podstawie art. 3 ust. 2 pkt 1 i 2 dekretu z dnia 26 października 1950 r. o podatku obrotowym (Dz. U. z 1950 r. Nr 49, poz. 449, z 1955 r. Nr 32, poz. 139, z 1960 r. Nr 29, poz. 167 i

z r. 1962 Nr 66, poz. 327) oraz art. 11 ust. 2 dekretu z dnia 26 października 1950 r. o podatku dochodowym (Dz. U. z 1957 r. Nr 7, poz. 26, z r. 1958 Nr 45, poz. 223 i z 1962 r. Nr 33, poz. 156) zarządza się, co następuje:

§ 1. W rozporządzeniu Ministra Finansów z dnia 6 czerwca 1951 r. w sprawie wykonania dekretu z dnia 26 października 1950 r. o podatku obrotowym...

Itd... itd...

By urzędnik finansowy mógł w taki sposób zredagowane rozporządzenie zrozumieć, powinien przesłodzić aż siedemnastu Dzielników Ustaw!

## COŚ Z ŻYCIA

Muszę się przyznać, iż czytanie „Polityki” różnorodnym przeważnie od rubryczki „Coś z życia”. Często w niej więcej satyrycznej obserwacji i celnych szczegółów, niż w felietonach specjalnie wykonanych. Może to i z tego względu autorzy felietonów, humorystów, wola groteskę, jeśli bowiem chodzi o realia, w pomysłowości z autorami nabył często konkurencję samemu życie. Przytoczmy tedy jeden passus:

Szczecińskiemu teatrowi muzycznemu nadesłano do wystawienia musical, którego akcja rozgrywa się na Księżycu. Żyła tu same kobiety i chodzą zupnie nie rozebrane. Nadlatuje nielada kosmiczny z siedmioma wysportowanymi kosmonautami. To co wyprawia z nimi tysiące obywateli Księżycza, stanowi treść dzieła kończącego się całkowitym wyzerpaniem wytorturowanych kosmonautów. Teatr miał odważyć odmówić wystawienia musicalu. Uzasadniał to brakiem warunków technicznych do zamontowania na scenie księżycowego pleneru.

JAN OLECHNO



## Dalszy ciąg ze str. 1

Końcowym osiągnięciem tego okresu było oddanie do użytku w 1955 roku inwestycji komunalnej o kapitalnym dla Łodzi znaczeniu — pierwszego rurociągu z rzeki odległej o ok. 50 km.

Okres następny, obejmujący dwie pięcioletki gospodarcze 1956—1960 i 1961—1965, charakteryzuje się wszechstronnym rozwojem życia gospodarczego i kulturalnego miasta. Struktura nakładów inwestycyjnych, które w tym okresie objęły sumę przeszło 23 mld zł, kształtowała się w ten sposób, że 44,3 proc. przeznaczono na przemysł, 35,2 proc. na gospodarkę komunalną i mieszkaniową, 11,4 proc. na urządzenia socjalno-kulturalne.

Przyrost naturalny, który w 1951 r. osiągnął najwyższy wskaźnik 15,3 na 1.000 mieszkańców w następnych latach obniża się i w 1965 roku wynosi 2,1 na 1.000 mieszkańców. W 1966 roku Łódź liczyła ok. 749 tys. mieszkańców.

W okresie 20-lecia następowały naturalne zmiany w strukturze ludności. O ile w 1945 r. na 100 mężczyzn przypadło 147 kobiet, to w roku 1965 proporcja ta wynosi już tylko 100:116. Zmienia się również struktura wieku ludności, a zwiększa się udział ludności powyżej 60 lat, co jest następstwem przedłużania się życia ludzkiego i wyraźnego spadku w ostatnich latach liczby urodzin.

Przemysł łódzki w stosunkowo krótkim czasie nie tylko dźwignął się ze zniszczeń wojennych, lecz z każdym rokiem powiększając produkcję, wysoko przekroczył jej poziom sprzed 1939 roku.

Jednym z głównych kierunków tego rozwoju jest likwidacja nadmiernego rozdrobnienia produkcji przez jej koncentrację w dużych zakładach. Zamiast małych, na wpol przemysłowych zakładów, powstały duże przedsiębiorstwa.

Zatrudnienie w odsetkach w przed. liczących pracowników:

	Ogółem	do 99	od 99	powyżej
		do 99	do 499	500
1939 r.	100	30,3	22,5	47,2
1965 r.	100	0,7	16,2	83,1

W rozwoju przemysłu łódzkiego należało uwzględnić również konieczność poprawy jego struktury. Przyjęto w latach powojennych kierunek lokalizowania i rozwijania w mieście przemysłów innych branż, takich jak metalowy, precyzyjny, maszynowy, elektryczny, filmowy, energetyczny itp.

W latach 1945—1965 w Łodzi wybudowano lub adaptowano istniejące obiekty dla 30 dużych zakładów tych własnie branż.

Rozwinięto się nie istniejący przed wojną w Łodzi przemysł filmowy. Wytwórnia Filmów Fabularnych, powstała w 1946 roku, była przez dłuższy czas jedynym tego rodzaju zakładem w kraju. Drugi zakład, Wytwórnia Filmów Oświatowych, wyprodukowała ponad 1300 filmów o różnorodnym tematyce instruktażowo-szkoleniowej z dziedzin rolnictwa, przemysłu i transportu itp. Zakłady Wytwórcze Kopii Filmowych to jedyny tego rodzaju zakład w kraju. Zapleczem i bazą przemysłu filmowego są nowo uruchomione po wojnie duże zakłady aparatury kinoteatralnej.

Łódź przestaje dymić tysiącami kominów. Nowo zbudowana elektrownia i przebudowana istniejąca elektrownia poza ogrzewaniem osiedli mieszkaniowych dostarczają wielu zakładom produkcyjnym parę technologiczną, umożliwiając im wyłączenie małych własnych kotłowni, nieekonomicznych w eksploatacji i uciążliwych dla otoczenia.

Obecna rozbudowa przemysłu łódzkiego zrywa z przedwojennym systemem chaotycznej i przypadkowej lokalizacji. Tworzy się dzielnice wyodrębnione pasami izolacyjnymi magazynowo-przemysłowymi z całkowitym uzbrojeniem i systemem bocznych kolejowych jako ważny element porządkowania zabudowy miasta. W końcowym stadium zagospodarowania znajdują się także dzielnice jak Zabieniec i Teofilów, a w pierwszy etap realizacji wchodzi — Dąbrowa i Nowe Sady.

	1939 r.	1965 r.
zatrudnienie w przemyśle		
ogółem	100,0	100,0
przemysł włókienniczy	82,0	56,7
metalowy i pokrewny	3,3	19,1
chemiczny i gumowy	2,2	4,8
przemysły pozostałe	12,5	19,4

Łódź jest więc w dalszym ciągu centrum włókiennictwa polskiego. Przemysł ten rozwija się nadal, przede wszystkim drogą modernizacji. A modernizacja to wydajniejsza, lepsza produkcja, a także lżejsza, zdrowsza praca. Mogą na ten temat wiele powiedzieć łódzkie włókiennicze.

Wachlarz produkcji łódzkiej fabryk włókienniczych i odzieżowych obejmuje obecnie wiele tysięcy wzorów i odmian kolorystycznych. Znak fabryczny „Telimena”, czy „Wólczanka” to synonimy najwyższej jakości i mody.

Przemysł włókienniczy i odzieżowy przestawia się coraz szerzej na produkcję krotkozeryjną. Dzięki temu łódzkie towary są jednym z ważniejszych artykułów eksportowych. Tkaniny i odzież z Łodzi spotyka się na rynkach blisko 100 krajów wszystkich części świata. Ogółem ponad 10 proc. produkcji zakładów łódzkiej idzie na eksport. W roku 1965 produkcja globalna łódzkiego przemysłu uspołecznionego wynosiła przeszło 37,5 mld zł, tzn. 5,1 proc. ogólnopolskiej produkcji.

Produkcja przemysłu łódzkiego zajmuje drugą pozycję wśród miast wydzielonych. W przemyśle włókienniczym, odzieżowym i filmowym Łódź posiada czołowe miejsce

w kraju. Równoczesny rozwój innych gałęzi gospodarki doprowadził do tego, że obecnie pracuje w Łodzi przeszło 400 tys. osób, a więc blisko dwukrotnie więcej niż przed wojną.

Wyjątkowo zła sytuacja lokalowa w Łodzi w 1939 roku pogłębiła w okresie wojny stratami sięgającymi prawie 30 proc. zasobów mieszkaniowych kształtowała niekorzystnie warunki bytowania ludności miasta szczególnie w pierwszym dziesięcioleciu tego okresu, a więc w czasie, w którym wielkie potrzeby państwa, jak odbudowa i rozbudowa przemysłu i transportu, odbudowa Warszawy itp. ograniczały rozmiary środków na budownictwo miasta. Natomiast trudności mieszkaniowe w tym samym czasie narastały wraz z dużym przyrostem ludności.

Nawet przy bardzo dużym wysiłku nie można było w okresie powojennym dwudziestolecia rozwiązać kwestii mieszkaniowej w Łodzi. Jednakże poważny rozwój budownictwa w ciągu tych lat pozwolił na ogromną poprawę warunków mieszkaniowych ludności w stosunku do okresu sprzed 1939 r. Jest to jedna z wielu zdobyczy obecnego ustroju. O rozmiarach i dynamice tego budownictwa świadczy przyrost przeszło 16<sup>o</sup> tys. nowo wybudowanych izb mieszkalnych w Łodzi w latach 1946—65.

W ostatnich latach przybywa Łodzi rocznie przeszło 20 tys. nowo wybudowanych izb mieszkalnych. Z posiadanych zaś materiałów z lat międzywojennych wynika, że w okresie 1923/1937 oddawano średnio rocznie do użytku poniżej 2 tys. izb mieszkalnych.

Nowe osiedla na Bałutach, Starym Mieście, Dołach, Zubardziu, Kozłach, Nowym Rokicciu, Kuraku, Widzewie, Dąbrowie — to piękne fragmenty zmieniającego swe oblicze miasta. Całkowite wyposażenie mieszkań w nowych domach w urządzenia sanitarne i centralnego ogrzewania zapewniają zdrowe warunki ich użytkownikom.

Postępujący rozwój budownictwa mieszka-

zwłaszcza na ulicach wylotowych.

Również na osi wschód—zachód przez przebiecia i przebudowę ulic uzyskano większą zdolność przelotową dla ruchu poprzecznego w mieście.

Nastąpiła wymiana nawierzchni wielu arterii zarówno w śródmieściu jak i w dalszych rejonach, zbudowano bądź przebudowano niektóre wiadukty, ważne skrzyżowania, pasáže, węzły komunikacyjne oraz podcienia. Długość ulic o powierzchni ulepszonej zwiększyła się z 28 km w 1945 roku do przeszło 270 km w roku 1965, tj. ponad 9-krotnie.

W trakcji tramwajowej skoncentrowano wysiłek, szczególnie w pierwszych latach po wojnie, na powiązanie siecią tramwajową odległych przedmieść pozbawionych dawniej połączeń z centrum miasta.

O wzroście frekwencji pasażerów w komunikacji miejskiej świadczą następujące liczby:

	rok 1938	rok 1965
Liczba pasażerów przewiezionych tramwajami w milionach	87,2	507,4
Liczba pasażerów przewiezionych autobusami w milionach	—	54,1

Powszechnie wiadomo o Łodzi, że jest miastem fabryk i kominów. Uciążliwość unoszących się nad Łodzią dymów byłaby jeszcze większa, gdyby nie duża ilość terenów zielonych, które łagodzą skutki tego stanu i są dla ludności miejscem koniecznej rekreacji.

W okresie powojennym powierzchnia zieleni oddanej do użytku publicznego poważnie wzrosła dzięki udostępnieniu ludności ogrodów pofabrykanych, dawniej zamkniętych murami, jak również przez urządzenie nowych, bądź poszerzenie istniejących parków, zieleni, ogródków działkowych, w czym zresztą waleń pomagała ludność. Uporządkowanie i zagospodarowanie kilku na-

# WIELKA PRZEBUDOWA

niowego nie tylko wpływał na zmianę warunków mieszkaniowych ludności Łodzi, lecz również poprawiał niekorzystną strukturę zaopodowienia miasta i jego przestrzenny układ. Równocześnie kształtował odpowiednio rozwój podstawowych urządzeń komunalnych.

W tym zakresie w latach powojennych w Łodzi zachodzą wyjątkowo korzystne zmiany. I tak np. wybudowano w latach 1945—1965 przeszło 386 km sieci kanalizacyjnej, w związku z czym uległy znakomitej poprawie warunki sanitarne miasta.

Wodociąg miejski w okresie międzywojennym był w początkowym stadium budowy. Wybudowano zaledwie 63,6 km sieci, której zresztą nie zdołano do 1939 roku uruchomić. Cały ciężar zaopodowienia tego podstawowego urządzenia komunalnego przypadł na okres powojenny. Ludność potrzebowała zdrowej wody pitnej. Rosły również potrzeby rozwijającego się przemysłu. Powzięta decyzja dostarczenia miastu wody z rzeki oddalonej o ok. 50 km została zrealizowana przez wybudowanie i oddanie do użytku w 1955 r. pierwszego, a w 1963 roku — drugiego rurociągu. Wykonanie tych kosztownych inwestycji pozwoliło na dalszą rozbudowę tego ogromnego wysiłku podjętego w latach powojennych i wybudowanie do końca 1965 r. blisko 540 km sieci, w której nie licząc przemysłu, przeszło 70 proc. ogółu ludności otrzymuje zdrową wodę.

Charakterystyczne są również zmiany w innych urządzeniach typu komunalnego, jak np. elektryczność i gaz:

	1938	1965
Zużycie energii elektr. w gospod. domowych na 1 mieszk. roczn. w kWh	26,8	186,5
Zużycie gazu w gospod. na 1 mieszk. rocznie w m <sup>3</sup>	8,7	72,7

O stanie ulic miejskich w okresie przedwojennym świadczyć może stosunek ilości jezdni o nawierzchni ulepszonej do ogólnej długości jezdni, który wyniósł zaledwie 4,8 proc. Po wojnie, w związku z powiększeniem obszaru miasta, wzrosła kilkakrotnie długość ulic.

Przeważnie były to jednak ulice o złej nawierzchni, a nawet drogi polne. Jednocześnie w miarę rozbudowy miasta i zwiększenia się ilości pojazdów mechanicznych coraz bardziej komplikował się ruch komunikacyjny w Łodzi. Dlatego wysiłki władz miejskich poszły w kierunku:

- budowy nowych przelotowych arterii,
- przebudowy nawierzchni ulic z kamienia polnego na ulepszoną z jednoczesnym poszerzeniem jezdni i w miarę istniejących możliwości wprowadzenia torowisk wydzielonych dla komunikacji tramwajowej,
- przebudowy węzłów i skrzyżowań ulicznych.

Realizacja tych zamierzeń natrafiała na poważne przeszkody, głównie w związku z koniecznością wyburzenia dla tych celów znacznej ilości budynków mieszkalnych i zachowania niezbędnego w tym względzie umiaru z uwagi na trudną sytuację mieszkaniową w Łodzi.

Ze względu na ukształtowanie miasta podstawowe znaczenie w jego układzie komunikacyjnym ma kierunek ruchu północ—południe. Na jego usprawnienie skierowana została znaczna część nakładów inwestycyjnych przeznaczonych na komunikację. Wykonano szereg ważnych robót drogowych

naturalnych kąpielisk na południu i północy miasta, zwiększyło także możliwości rekreacji. Rozwój terenów zielonych w mieście obrazuje poniższe zestawienie:

	1938 rok	1965 rok
Obszar zieleni miejskiej w ha	676,9	2135,5
Obszar ogródków działkowych w ha	10,0	262,6

Do następującej w miarę lat poprawy ilości i struktury masy towarowej dostarczanej na rynek oraz przebudowy miasta należało dostosować odpowiednio sieć handlową, tym bardziej, że nie była ona w Łodzi nigdy choćby dostateczna. Rejony, w których budowano nowe duże osiedla zostały równocześnie wyposażone odpowiednio w sieć placówek handlowych. Prawie 400 nowych lokali handlowych i 40 gastronomicznych oddano do użytku mieszkańców w osiedlach bądź na peryferiach miasta, tam gdzie ich w ogóle nie było. W starej zabudowie zmierzniowano w ostatnich 10 latach przeszło 600 sklepów, 60 zakładów żywienia zbiorowego.

Oczywiście osiągnięte ilościowe nasycenie jak i rozmieszczenie sieci usług handlowych, nie zabezpiecza potrzeb miasta. Tak jak zresztą i sieć punktów rzemieślniczych, mimo poważnego rozwoju usług w ostatnich latach.

Dokonywana się rekonstrukcja Łodzi, to działanie oparte na założeniach i przyjętych kierunkach, zatwierdzonego przez władze centralne, perspektywnego planu zagospodarowania miasta. Już w ciągu minionych powojennych lat, choć to stosunkowo okres krótki, racjonalne, nieprzypadkowe działanie przyniosło ogromne, pozytywne zmiany we wszystkich dziedzinach gospodarki miasta.

Ten porządek także kształtował rozbudowę urządzeń socjalno-kulturalnych. W tym zakresie Łódź miała i zresztą ma, wyjątkowo duże potrzeby.

Na czoło wysuwa się sprawa ochrony zdrowia człowieka. Szeroko rozwinięta po wojnie sieć placówek lecznictwa otwartego uspołecznionej służby zdrowia, powiększona o ok. 70 proc. liczba łóżek szpitalnych i wzmocniona działalność służby sanitarnej — wszystko to złożyło się na zasadniczą poprawę warunków ochrony zdrowia mieszkańców Łodzi.

W rezultacie poprawy stanu sanitarnego miasta oraz rozwoju lecznictwa i masowych akcji szczepień, choroby zakaźne i liczba zgonów na gruźlicę zmalały przeszło 3-krotnie, a umieralność niemowląt przeszło 4-krotnie. Wszelkimi środkami opieka nad matką i dzieckiem niesie pomoc i ulgę pracującym kobietom, które w Łodzi stanowią bardzo poważny procent ogółu zatrudnionych.

Istotne zmiany nastąpiły w zakresie pomocy społecznej świadczonej starcom oraz inwalidom. Powstają założone przez miasto domy opieki, domy rencistów i zakłady dla przewlekle chorych.

	rok 1936	rok 1965
Liczba lekarzy med.	568	1961
Liczba lekarzy dentyistów	258	668
Liczba łóżek szpit.	3152	6275
Wskaźn. liczby łóżek szpit. na 100 mieszkańców	4,7	8,4
Wskaźnik umieralności niemowląt na 1000 urodz.	183,0	41,4
Liczba żłobków	2	59
Liczba miejsc w żłobkach	100	4073

Wyjątkowe znaczenie i wpływ na głębokie przemiany w strukturze społecznej miasta miał fakt utworzenia w Łodzi tuż po wyzwoleniu wyższych uczelni. Poza filią tzw. Wolnej Wszechnicy, placówki nie posiadającej praw akademickich, Łódź w okresie przedwojennym wyższej uczelni nigdy nie posiadała.

Dziś jest ich 7 i wraz z istniejącymi w Łodzi kilkunastoma samodzielnymi instytucjami, towarzyszami naukowymi tworzą one obecnie duże i prężne środowisko naukowo-badawcze, którego zasięg i znaczenie wykracza poza granice kraju. Liczba przeszło 18 tys. osób kształcących się w miejscowych wyższych uczelniach stawia Łódź w rzędzie największych ośrodków akademickich w Polsce.

W okresie międzywojennym większość szkół w Łodzi mieściła się w budynkach adaptowanych, nieprzystosowanych w pełni do potrzeb nauczania, gdyż w tamtym okresie oddano do użytku tylko 18 nowych szkół. Godzi się jednak podkreślić fakt, że z miast byłej Konfederacji Łódź pierwsza wprowadziła w okresie międzywojennym powszechność nauczania w zakresie szkoły podstawowej.

W okresie powojennym do końca 1965 roku wzniesiono w Łodzi 121 budynków szkolnych, co w znacznym stopniu zaspokoiło potrzeby oświaty.

	1936 rok	1965—66 rok
Liczba uczniów w szk. podstawowych	85.345	96.169
Liczba uczniów w szk. średn. ogólnokształc. i zawod. (łącznie z pracującymi)	15.834	79.398

Szeroki program rozwoju szkolnictwa znalazł gorące poparcie łódzkiego społeczeństwa w świadomościach na budowę szkół — pomników tysiąclecia państwa polskiego. W latach 1959—1965 mieszkańcy Łodzi wpłacili na ten cel sumę blisko 300 mln zł, Program, który przewidywał budowę z tych środków 30 szkół do 1966 roku całkowicie wykonano.

Wszelkierony rozwój Łodzi w ostatnich dwudziestolecia przeobraził w sposób gruntowny charakter miasta. Obecna Łódź jest nie tylko centrum przemysłowym, lecz równocześnie dużym ośrodkiem kulturalnym.

Wybitnie ekskluzywny charakter życia kulturalnego Łodzi w okresie międzywojennym nie mogły zmienić ówczesne wysiłki niektórych jednostek. Na przeszkodzie stały bowiem: niedostatek materiałów ludności robotniczej, zbyt mała ilość środków finansowych niezbędnych dla rozwoju nawet tej skromnej wówczas liczby placówek kulturalnych. Bogaty program upowszechnienia kultury w latach powojennych wymagał rozbudowy urządzeń kulturalnych, których doład odczuwano w Łodzi wyjątkowo dotkliwy brak. Wybudowanie nowych obiektów teatralnych, między innymi gmachu Teatru Wielkiego i budynku operetki — oba obiekty mają ponad 1300 miejsc — jak i przebudowa istniejących zapewniają podstawowy dla życia kulturalnego instytucjom niezbędne warunki rozwoju.

Obecnie działa w Łodzi 7 teatrów, w tym 2 teatry lalek, oprócz tego Opera, Filharmonia, Operetka. W nowych bądź przywróconych pomieszczeniach mają swe siedziby: Muzeum Sztuki, Muzeum Archeologiczne i Etnograficzne, Muzeum Historii Ruchu Rewolucyjnego i Muzeum Historii Włókiennictwa.

Rozbudowana została rozgłośnia radiowa, a w roku 1956 powstał i rozpoczął w Łodzi działalność środek telewizyjny.

Wzrosła liczba kin z 20 w 1939 r. do 37 (w tym 2 kina letnie) obecnie. Stale powiększa się sieć bibliotek publicznych, zakładowych i specjalistycznych.

Zmiany te wywarły wpływ na poziom życia kulturalnego w mieście. Żywa działalność towarzystw i wydawnictw znajduje swoje źródło i oparcie w prężnym i liczonym łódzkim środowisku twórczym — literatów, plastyków, kompozytorów, artystów teatralnych, filmowych, muzyków.

Poważnie rozbudowane zostały urządzenia sportowe. Nowa hala ze sztucznym lodowiskiem, mieszcząca do 12 tys. widzów, liczne boiska, sale gimnastyczne i plac gier, kąpieliska i 3 baseny kryte — stworzyły dogodne warunki dla rozwoju sportu i wychowania fizycznego młodego pokolenia.

Przedstawiony powyżej doświadczeń ogólny, a więc i niepełny, zarys rozwoju miasta nie uwzględnia osiągnięć we wszystkich dziedzinach, lecz mimo to umożliwiła wyrobienie sobie poglądu na wielkość i znaczenie zmian, jakie nastąpiły w Łodzi w ostatnich 20 kilku latach. Są one dziełem ogromnego, zbiorowego wysiłku. Ciele bowiem społeczeństwo Łodzi brało aktywny udział pod kierownictwem Partii w tworzeniu lepszych warunków bytu, w przebudowie miasta, jego gospodarki oraz w organizowaniu i realizacji czynów społecznych w szeroko rozwiniętym ruchu Frontu Jedności Narodowej.

W uznaniu wybitnego wkładu społeczeństwa Łodzi w budownictwie socjalistycznym i w uznaniu bogatych tradycji łódzkiej klasy robotniczej — miasto zostało odznaczone w 1960 roku „Orderem Budowniczych Polski Ludowej”.

Podkreślając fakt wielkiego rozwoju Łodzi byłoby zwykłym uproszczeniem twierdzenie, że udało się całkowicie zlikwidować wieloletnie zaniedbania okresu kapitalistycznego. Przebyta droga należy uznać za wstępny etap w rozwoju miasta. Zostały w nim stworzone warunki do dalszej rozbudowy i zaspokojenia różnorodnych potrzeb komunalnych, socjalno-kulturalnych i życiowych ludności. Powojenny dorobek stanowi rękojemnie spełnienia zamierzonych planów przekształcenia Łodzi w miasto socjalistyczne wszechstronnie rozwinięte.

Mgr EDWARD KAŻMIERCZAK



POSTAĆ KANCLERZA REPUBLIKI BOŃSKIEJ NALEŻY DZIŚ DO PRZESZŁOŚCI. KADENCJA ADENAUERA JEST OBECNIE W NRF NAZYWANA „ERA ADENAUERA”. UKAZAŁA SIĘ DWA LATA TEMU ZBIOROWA KSIĄŻKA POD TAKIM WŁASNIE TYTUŁEM. W STYCZNIU UB. ROKU UKAZAŁ SIĘ PIERWSZY TOM PAMIĘTNIKÓW KONRADA ADENAUERA, OBEJMUJĄCY LATA 1945—1953. POKAZUJE TEN TOM POZWAŁA WGLĄDŃ W WYTYCZNE POLITYKI KANCLERZA W TRUDNYM DLA NIEMIEC OKRESIE POWOJENNYM. ODBUDOWA ZNISZCZONYCH WOJENNYCH, „CUD GOSPODARCZY” BYŁY DZIEŁEM INNYCH DZIAŁAŃ, PRZEDĘ WSZYSTKIM ERHARDA. STABILIZACJA USTROJU, POLITYKA ZAGRANICZNA, OTO DOMENA AKTYWNOŚCI SZEFA CDU, RZĄDZĄCEJ DO DZIŚ W NRF PARTII CHRZEŚCIJAŃSKO-DEMOKRATYCZNEJ, I PIERWSZEGO KANCLERZA REPUBLIKI ZWIĄZKOWEJ.

JÓZEF DUTKIEWICZ

## ADENAUER w świetle swych pamiętników

Adenauer rozpoczął karierę polityczną jako nadburmistrz Kolonii w r. 1924, pozbawiony urzędu przez hitlerowców objął znowu to stanowisko wiosną 1945 jeszcze przed ogólną kapitulacją Niemiec. Z pamiętników dowiadujemy się jak popadł następnie w konflikt z władzami okupacyjnymi angielskimi, które za rządów partii pracy (gabinet Attlee) stawiały raczej na SPD i Schumachera. CDU potrafiła jednak pod kierownictwem Adenauera szybko zdystansować socjaldemokrację w wyborach lokalnych w strefie okupacyjnej brytyjskiej. Po tym wygrała nieznacznie i względna co prawda większością wybory do zgromadzenia konstytucyjnego i pierwszego bońskiego parlamentu na jesień 1949 r. Adenauer zdołał pozyskać sobie zaufanie komisarzy amerykańskiego, zdołał przede wszystkim pokonać we własnej partii tendencję lewicową aprobującą nacjonalizację wielkiego przemysłu. Pod wpływem Adenauera partia poszła do wyborów w 1949 r. pod hasłem „gospodarki społecznej”, budowy mieszkań, sprawiedliwych płac, ale utrzymania prywatnej własności przemysłowej i rolnej.

Adenauer bardzo wczesnie dostrzegł nieodwracalność procesów gospodarczo-społecznych zachodzących w strefie radzieckiej. Również wczesnie dostrzegł rozbieżności w obszarze sprzymierzonych i począł je bardzo zresztą nie wygrywać. Młodzież pozyskał dla CDU sprzeciwem się projektem SPD przymusowej rocznej służby pracy dla młodzieży. Starsze pokolenie CDU pozyskał też, że ruch hitlerowski był dziełem wąskiego kręgu agitatorów, wykołajców, że z ruchem tym nie miała nic wspólnego większość generacji i większość wielkich kapitanów przemysłu. Hitlerowcy narzucili siłą swą ideologię, większość narodu niemieckiego była im przeciwna, ale najbardziej konsekwentna była opozycja kręgów hierarchii kościelnej katolickiej i protestanckiej. Ta oficjalna wersja CDU negocjująca lub przemilczająca całkowicie ruch antyfaszystowski lewicy, ruch komunistyczny stanowiąc podstawę pretensji tej partii do przodownictwa nowym „demokratycznym” Niemcom.

Jedną jeszcze tezę stanowiła fundament polityki wewnętrznej i zewnętrznej kanclerza: teza, że nowe „odrodzone” Niemcy muszą być aktywnym członkiem europejskiego współzwiązania „wolnych” narodów, że opowiadają się po stronie zachodnich demokracji, że traktują ZSRR jako państwo totalne, ustrój sprzeczny z prawami jednostki, swobodami jednostki, zachodniego liberalizmu. Adenauer jeszcze przedtem nim został kanclerzem deklarował swój „europejski” patriotyzm, europejską przynależność; zaczął brać udział w ruchu tzw. europejskim.

Lata 1945—49 to walka Adenauera i jego partii o zjednoczenie trzech stref zachodnich, walka o zaprzestanie demontażu fabryk, walka z koncepcją umiędzynarodowienia Zagłębia Ruhry oderwania Zagłębia Saary od Niemiec. Zmora dla Adenauera był wówczas tzw. plan Morgentaua przewidujący dezindustrializację Niemiec, złamanie bezpowrotne ich potencjału gospodarczego. Plan Marshalla stanowił dla powojennych Niemiec zachodnich deskę ratunku, w komisjach rozdzielających fundusze marszałkowskiej pomocy po raz pierwszy zasiadli przedstawiciele Niemiec

zachodnich. Fundusze płynące ze Stanów Zjednoczonych miały określony cel polityczny. Europa wchodziła w okres tzw. zimnej wojny. Adenauer czynił wszystko, by groźbę radzieckiej agresji uczynić dla Zachodu jak najbardziej straszną, jak najbardziej prawdopodobną. Doskonale zdawał sobie sprawę, że owo rzekome niebezpieczeństwo czyni przyszłe państwo zachodniemieckie czymś niezbędnym dla Stanów Zjednoczonych, dla NATO. W pamiętnikach swych Adenauer usiłuje przekonać swych czytelników, że to ZSRR postawił Zachód przed faktami dokonanymi, uzbrajając policję w strefie radzieckiej. Nie mamy wzmianki o tym, że reforma waluty w Tryzonii stała się powodem zamknięcia dostępu do Berlina, ta retorsja władz radzieckich pokazana jest jako akt zaczepny, prowokujący utworzenie sławnego „mostu powietrznego” do Berlina.

Z pamiętników kanclerza widać, jak starannie wyżył on napięcie wywołane wybuchem wojny w Korei. Istnieje już republika bońska, ale istniały jeszcze klauzule statutu okupacyjnego. Teraz można było przystąpić do stopniowej jego likwidacji, do przygotowań włączenia Niemiec Zachodnich do NATO jako pełnoprawnego partnera. Było rzeczą charakterystyczną, że kanclerz domagał się usamodzielnienia NRF, zlikwidowania komisarzy, nigdy nie postulował zmniejszenia wojsk okupacyjnych, przeciwnie wysuwał nawet żądania ich powiększenia. Wojna w Korei, rzekome zagrożenie Europy stały się podstawą do wysuwania projektów udziału NRF w obronie Europy. Na razie nie mówi się o wskreszeniu Wehrmachtu, postuluje się skromny udział jednostek niemieckich w silach zbrojnych armii europejskiej. Termin „Wiederbewaffnung” pojawia się na łamach pamiętnika bardzo późno, już wówczas gdy od batalionów, i małych jednostek można było przejść do większych jednostek bojowych z pełnym ciężkim sprzętem. Remilitaryzacja w samych Niemczech Zachodnich spotykała się z silnym oporem (ruch ohne uns). Propagandzie CDU udało się stopniowo opór ten przełamać, dowodząc, że prawdziwa samodzielność NRF wymaga zbrojnego ramienia. Trzeba było przeprowadzić zmianę konstytucji, nie uznającej przymusu służby wojskowej, trzeba było do tego celu pozyskać SPD i to się udało. Oficjalna propaganda zastrzegła się nadal, że nowa niemiecka armia nie będzie miała nic wspólnego z dawnym pruskim drylem, z militaryzmem. Nie przywrócono terminu Wehrmacht, mundury Bundeswehry są też inne. Czy inny jest duch tej armii, to inna sprawa. Organizacje byłych wojskowych zaczęły rosnąć jak grzyby po deszczu, lawina wspomnień wojennych, żołnierskich gazet, opracowań działań bojowych z okresu drugiej wojny zalała rynek księgarski. Bez żadnej żenady zaczęto specjalistom amerykańskim przedstawiać oficerów, którzy mieli jedynie w świecie doskonałe doświadczenia w walce z Armią Czerwoną. Oczywiście w pamiętniku kanclerza niewiele jest na ten temat wzmianek.

Wykład pamiętnika urywa się w momencie, gdy Bundestag zatwierdza układ o europejskiej współpracy obronnej. Relacje dopiero pierwsze wizyty kanclerza w Anglii i w Stanach Zjednoczonych, Acheson, J. F. Dulles to byli najlepsi kompanionerzy Adenauera.

O sprawach polskich w pamiętniku niewiele się mówi. Znana jest teza, że umowa poczdamska nie jest rozwiązaniem ostatecznym, że dopiero przyszły traktat pokojowy ostatecznie ma rozstrzygnąć sprawę granic. Bardzo wiele mówiąca jest wzmianka na temat przesiedlenia ludności niemieckiej po wojnie. Kanclerz kwalifikuje tę procedurę jako „niegodną”, dokonaną w „stylu nazistowskim”. Liczne przesiedlenia podaje bardzo wysoką włączając do niej wszystkich ewakuowanych przez władze hitlerowskie ludzi z niemieckich terenów wschodnich, ewakuowanych przez wkraczającą Armię Czerwoną.

Adenauer jest w dużym stopniu odpowiedzialny za podział Niemiec. Jego polityka względem przesiedlonych, delegalizacja Komunistycznej Partii Niemiec, konserwatywny społeczny nie czynią go dla nas sympatycznym. Znany i pamiętany zdjęcie kanclerza w białym płaszczu z czarnym krzyżem, to zdjęcie jest dla nas symboliczne. Zachodniemiecki rewizjonizm kroczy utartym szlakiem germańskiego Drang nach Osten.



JULIAN LISOWSKI

## Pierwszy EKS

(FRAGMENT)

Każdemu, kto trochę uczył się historii, wiadomo, że Kutno było miejscem ciężkich walk we wrześniu 1939 roku. Nie uciekłem na Warszawę wraz z innymi mężczyznami zdolnymi do noszenia broni, jak nakazywał apel rządu, gdyż nie mogłem zostawić dzieci bez opieki. W pierwszych dniach okupacji wysiedlono mnie. Moje mieszkanie zajęli niemiecki naczelnik stacji. Wróciłem z dziećmi pieszo do Łodzi, a ściślej — na Retkinie, gdzie przed wojną postawiłem sobie chatkę, taki pokój z kuchenką, bez wygod. Do pracy już nie poszedłem, bo nie było po

co. Niemcy na pewno przejęli kartoteki Monopoli, a tam figurkowałem jako podejrzanym o komunizm.

Od razu nawiązałem kontakt z tow. Tadeuszem Głabem i innymi starymi towarzyszami. Byłem od początku w komitetach sabotażowych, a później w organizacji „Front Walki za Naszą i Waszą Wolność”. O tej działalności na pewno opowiedzą dokładnie inni towarzysze. Ja natomiast postanawiam przejść od razu do tego okresu, kiedy powstała partia i uformowało się jej zbrojne ramie — Gwardia Ludowa. W PPR objąłem

funkcję sekretarza dzielnicy Śródmieście Prawa. Do Gwardii przystąpiłem razem z dwoma swymi synami — Zdzisławem, ps. „Smiały” i Tadeuszem, ps. „Tadzik”. Tadzik nie ukończył jeszcze wówczas szesnastu lat. Za rok już nie żył.

Pierwszej akcji bojowej dołączaliśmy w lutym bądź w marcu 1943 roku. Był to napad na biura „Luftschutzu” — niemieckiego zjednoczenia przemysłowego przy ul. Nowomiejskiej 3. W „Luftschutzu” po zakończeniu pracy zawsze ktoś z personelu pozostawał na całonocnym dyżurze. Zdzisław miał tam kolegę — Bogdana Grzelaka. Jednego razu Bogdan „splawił” drugiego pracownika, z którym razem dyżurował i wypuścił na noc mego syna. Wspólnie ułożyli cały program napadu.

Na akcję poszliśmy w sześciu: Czesiek Huttor, trzech Lisowskich i dwóch gwardzistów z dzielnicy za gettem, pseudo „Franek” i „Czesiek”. Razem z Hutorem było więc dwóch Cześków. Broniek Znojek — komendant GL na Łódź — wydał nam 2 pistolety. Oczekaliśmy do zmierzchu. Teraz należało się spieszyć, że-

by załatwić wszystko przed godziną policyjną.

Biura „Luftschutzu” mieściły się na I piętrze z frontu. Huttor i „Smiały” zażądali otwarcia drzwi, podając się za monterów z elektrowni. Weszliśmy wszyscy poza jednym, który został na czatach. W biurze znajdowały się 3 kobiety — 2 Polki i Niemka. Nie mieliśmy z nimi kłopotu, bo sam widok broni odebrał im mowę.

Napad przyniósł nam bogaty plon: powielacz elektryczny, radio, maszynę do pisania i sporo różnych pieczęci, które mogły być bardzo przydatne dla organizacji. Chłopcy sprowadzili dwie dorożki z placu Wolności i cały ten „majdan” załadowaliśmy „legainie”, jakby chodziło o jakąś przeprowadzkę. Ulca rolała się od wojska i gestapowców, ale na szczęście nikt się nam nie zainteresował. „Smiały” pozostał jeszcze na „górze”, pilnując, żeby kobiety za wczesnie nie narobiły krzyku, reszta zaś rozjechała się w różne strony. Tamci chłopcy z getta zabrałi jedną dorożkę, radio i maszynę, my zaś we trójkę odjechalismy z powielaczem na Retkinie. Rów-

nież i po drodze nikt nas nie zacepił. Powielacz został złożony w szopie u Janka Lewandowskiego, o czym na drugi dzień zawiadomiliem towarzysza Moczara, meldując mu o wykonanej akcji. Był to pierwszy w Łodzi napad z bronią w ręku, przeprowadzony przez Gwardię Ludową, pierwszy „eks”, jak się wtedy mówiło.

Przy okazji nastąpiła całkowita kompromitacja łódzkiego gestapo. Bo nie dość, że pozwolili się zaskoczyć w samym sercu „Litzmanstadt”, gdzie mieszkali wyłącznie Niemcy, to jeszcze na dodatek bał się wejść do „Luftschutzu” bezpośrednio po naszej akcji. Wkroczyli tam dopiero nazajutrz o 9 rano, ale najpierw zagnali do środka polskich pracowników. Tak się obawiali ci „bohaterzy”, żeśmy tam podłożyli jakąś bombę. Oni byli mocni tylko wtedy, gdy mieli w ręku bezbronnego człowieka.

O zachowaniu gestapowców dowiedzieliśmy się od Bogdana Grzelaka, który rano normalnie poszedł do pracy. My natomiast postanowiliśmy prze-

siedzieć trochę w ukryciu, bo ostatecznie zbyt wielu ludzi wiedziało nas w akcji. Tylko Czesiek Huttor nie uważał na żadne niebezpieczeństwo. Biegając po mieście jak dawniej, zawsze z odkrytą głową, po napadzie nie stracił się nawet zmienić powierzchowności, ani ubioru. I w końcu, jadąc tramwajem, spotkał jedną z tych dziewcząt z „Luftschutzu”. Zauważył od razu, że rozpoznała go. Wieczorem więc wybrał się do niej do domu, żeby się upewnić, czy go nie wyda. Wspominał mi później, że został przyjęty bardzo przyjemnie, zresztą trudno się „dziwić”, bo był to chłopak obyty i inteligentny, na każdym robił dobre wrażenie. Dziewczyna potrafiła dochwycić tajemnicę, a Bogdan doniósł nam, że po tej rozmowie z Cześkiem nawet bardzo się zmieniła, przestała wyrażać się o sprawcach napadu, jako o „bandytach” i w dyskusjach toczonych w biurze, gdzie nasza akcja była wciąż głównym tematem rozmów, czyniła aluzje, że mogła to być sprawa szlachetna.

Nie minęły 2 tygodnie i Czesiek zachęcił nas do nastę-



# MOSKWA i LENIN GRAD

Dalszy ciąg ze str. 1

Moskwy, ułatwia nam wypadki we wszystkie kierunki. Zaczynamy od ulicy Gorkiego — szerokiej, z ładnymi sklepami. Na ścianach domów tablice, oznajmiające, że tu, w tych i tych latach, mieszkał i pracował Mikołaj Ostrowski, Demian Biednyj, Wacław Szyszłow, Aleksander Fiediejew i wielu innych. W różnych punktach miasta pomniki Lwa Tołstoja, Puszkina, Aleksandra Ostrowskiego, Majakowskiego. Kiedy pomyślę, że w Polsce nie ma pomnika Norwida, a od lat trwają starania, by w Warszawie przy ulicy Mokotowskiej w domu, należącym niegdyś do Kraszewskiego, zorganizować muzeum, poświęcone najpracowietszemu z polskich pisarzy — ogarnia mnie uczucie zadróżki. A kiedy nazajutrz pójdziemy do domu-muzeum Tołstoja, Puszkina, Dołgostojewskiego, Gorkiego — uczucie to jeszcze wzrośnie. Oto kraj, w którym panuje prawdziwy kult literatury. Będziemy się o tym przekonywać wielokrotnie w czasie naszego pobytu. Słowo: pisateli, wiele tutaj znaczy.

Po południu wyprawa na Wzgórze Leninowskie. Dużo spacerowiczów, jak w każdy dzień świąteczny. Patrzymy na Moskwę w blaskach zimowego słońca. Na wprost, z lewa i z prawa strzelają w niebo wieże pałaców. Najokazalszy z nich to Uniwersytet im. Lomonosowa, w mniejszych i skromniejszych, ale również zbudowanych z przepychem, mieszczą się hotele. Nasz „Pekin” posiada dwaście pięter. A jednak i hoteli i restauracji w tym wielkim mieście wciąż za mało. W niedziele i święta, tak jak dziś, restauracje wypełnione do ostatniego miejsca. Nie mogliśmy się dostać do restauracji rosyjskiej, bułgarskiej, białoruskiej, ormiańskiej. Wszędzie pełno. Przed wieloma restauracjami i kawiarniami długie ogonki. Ludzie czekają cierpliwie, aż zwolnią się jakieś miejsca i cember wpuszcza do środka dokładnie tyle osób, ile wyszło z lokalu. Wreszcie i nam się udało. Zdobyliśmy miejsca w „Aragwi”, restauracji gruzińskiej, tuż przy placu, na którym znajduje się pomnik założyciela Moskwy — kniazia Dołgorukiego. Lubicie anegdoty? Bo ja bardzo lubię. Pewien Gruzin, który po raz pierwszy (tak jak my) przyjechał do Moskwy, odszukał, rzecz jasna, „Aragwię”. Gdy, solidnie pojadłszy i popiwszy, wyszedł stamtąd, była prawie północ. Zbliżył się do pomnika Dołgorukiego, popatrzył nań, przeczytał napis, podumał, westchnął i powiedział: „Wspaniały chłop! W pobliżu „Aragwi” zbudował takie wielkie miasto”.

Na długo przed zapadnięciem zmierzchu wybraliśmy się na Kreml, ów legendarny Kreml, z którym zrosły się dzieje tego kraju.

Zawsze bardziej, niż muzea i pamiętki historyczne, interesują mnie ludzie, ale urodzie architektonicznej Kremla oprócz się niepodobna. To jest piękne. Nic dziwnego, że przevalają się tędy tłumy. Starcy i młodzież, kobiety i dzieci, nieźle na ogół ubrani, chodzą po Placu Czerwonym, pstrykają zdjęcia, zatrzymują się, spoglądają na ceglane mury z licznymi basztami, rozmawiają. Kompleks kremlowski robi duże wrażenie na zwiedzających, a znajdująca się przy Placu Czerwonym słynna cerkiew Wasyla Błogosławionego jest jak dekoracja teatralna, przeniesiona w świat ludzki z krainy baśni i czarodziejstwa.

Człowiek, przybywający po raz pierwszy do Moskwy, nie może nie pójść do Galerii Tretiakowskiej. Poszliśmy i my. Bogate zbiory, imponujące rozplanowanie. Ale nie ikony, oczywiście bardzo piękne, i nie rosyjskie malarstwo siedemnasto- i osiemnastowieczne, będące zresztą pod wyraźnymi wpływami mistrzów włoskich i flamandzkich, najbardziej mnie zafrapowało. Ciekawsze rzeczy można oglądać w Wiedniu, Berlinie, Paryżu. Uwagę moją przykuł Iłja Repin. Długo siedziałem w sali Repinowskiej, gdzie wśród wielu płócien rzuca się w oczy obraz, przedstawiający Iwana Groźnego w chwili, gdy zamordował on własnego syna. Historyk i krytyk sztuki powiedzieliby zapewne, że to czysty naturalizm, ale mnie zupełnie nie interesuje ich opinia. Krew na skroniach osiemnastoletniego chłopca i przerażenie w oczach ojca, który przycisną go do piersi, jakby nagle uświadomił sobie ogrom własnej zbrodni — na długo, jeśli nie na zawsze zostaną w mojej pamięci. Koledzy już wyszli, a ja wciąż siedziałem na obitej skórą ławie i oczu nie mogłem oderwać od tego malowidła. Iwan Groźny podjeżdżał syna swego o spisek z bojarami. A niech tam, co mnie obchodzi, jak było naprawdę. Ten obraz, odtwarzający wydarzenie historyczne, nabiera zarazem znaczenia symbolu. Mówi więcej, niż jedno naukowe opracowanie.

Leningrad w niczym nie przypomina Moskwy. Nie ma tego rozmaichu, jest cichszy i skromniejszy. Ale Leningrad jest piękny, piękniejszy, niż Moskwa, zbudowany z myślą, po europejsku jak wielkie miasto na Zachodzie. Nie widać śladów zniszczeń wojennych, choć miało obłożone było przez prawie trzy lata. Nigdy nie zapomnę książki Wiery Inber, która spisała w niej w formie dziennika przeżycia z tamtych ciężkich czasów. Pamięć o hitlerowskiej blokadzie miasta zachowują ludzie starsi i literatura, skrzętnie zapisująca przeszłość dla nowych pokoleń.

W hotelu „Europejskim” na ulicy Brodskiego, tuż przy Nowemskim Prospekcie — sami cudzoziemcy. Na śniadaniu spotykamy się z artystami paryskiego teatru Villara, który tu właśnie przyjechał na gościnne występy. Aktorzy ubrani raczej przeciętnie, niczym się nie wyróżniają, a już aktorki brzydkie jak siedem nocy w listopadzie. Skąd się wzięła legenda o urodzie paryżanek? Pal diabli paryżanki, jesteście w Leningradzie — mieście rewolucji, musimy zobaczyć Smolny, Pałac Zimowy, Ermitaż i wiele innych rzeczy.

Nareszcie mogę obejrzeć owe izby, w których mieszkał Lenin z Krupską. Oto znane z obrazów fotole, opięte białymi pokrowcami, stół,

przy którym Lenin pisał, a za przepierzeniem — dwa proste, najwyklesze łóżka. Została płyta z nagranyim przemówieniem. Zdania krótkie, słowa energiczne, głos garłowy, chrapliwy, wymawiane z francuska „r”. W tych izbach Lenin mieszkał i pracował przez cztery tygodnie dla rewolucji miesiadcze w końcu 1917 i na początku 1918 roku. Surowy, ascetyczny tryb życia tego człowieka budzi szacunek i podziw. Znamy Lenina z filmów i obrazów, z opisów i wspomnień, ale dopiero obejrzenie mieszkania daje prawdziwe wyobrażenie o jego skromności i prostocie, które są tak charakterystyczne dla wielkich umyłów.

Ermitaż. To coś większego i wspanialszego, niż Galeria Tretiakowska. Takie w każdym razie odniosłem wrażenie. Ermitaż można Rojsjanom pozazdrościć. Chodziłem i chodziłem aż do umęczenia. Dwa dziesięcia trzy płótna Rembrandta, Rubensa, van Dycka, impresjonistów francuscy, dużo obrazów Picassa z jego wczesnego okresu. Przyjemna niespodzianka: wśród dzieł sztuki nowoczesnej obraz Rafała Malczewskiego, Romualda Kamilla Wilkowskiego, Eralma Seidenbutla i rzeźba Alfonsa Kuny „Dziewczyna ze skakanką”. A nazajutrz i pojutrze zwiedzanie twierdzy Pietropawłowskiej, Soboru, w którym znajdują się groby carów od Piotra Wielkiego do Aleksandra III i gdzie wszyscy ko kapie od złota, wyjazd do Peterhofu i długie rozmowy nad brzegiem morza, do Carskiego Sioła (dziś Puszkino), obiad w jakiejś przyrodznej karczmie, w której podawano gorące smaczne kolduny. Nade wszystko jednak spotkania i rozmowy z ludźmi. Na ulicy, w sklepie, w hotelu, w redakcji. Sprzątaaczka, dowiedziawszy się, że jestem z Polski, powiedziała: „My lubim Polzu”. Nie wiem, może z grzeczności, aby mi zrobić przyjemność, ale miło było tych słów posłuchać. W „Domie Knigi”, w dziale między narodowym na drugim piętrze książ

ki polskie, które mają tutaj zbyt, bo są ludzie zainteresowani polską literaturą. Przekonała nas o tym wizyta w redakcji miesięcznika „Zwiewza”. Redaktorzy, po swobodnej i ożywionej dyskusji, zaproponowali nam wydanie polskiego numeru „Zwiewzy”. Rola nasza polegałaby na przesłaniu im odpowiedniego materiału (szkie o literaturze polskiej, wiersze, opowiadania, omówienie ciekawszych pozycji książkowe). Obecny na spotkaniu prozaik Jurij Rytheu, przypominający z wyglądu Japończyka, opowiada o swoim pobycie w Polsce, a młody Andrej Bitow pokazuje z dumą polski przekład swej mikropowieści „Takie długie dzieciństwo”. Swiatosław Swiacki, tłumacz z języka polskiego, dopytuje się o nowe utwory naszych dramaturgów. Mówię mu: „Jarosław Iwaszkiewicz napisał nową sztukę pt. „Kosmogonia”. Podobno bardzo interesująca. Niech pan do niego napisze, to panu przyśle albo przywiezie z sobą w maju na zjazd pisarzy do Moskwy, w którym weźmie udział jako gość z Polski”. Nie dodaje, że ja także przyjadę razem z nim, bo zakrawałoby to na chwalebność.

W teatrze, podczas antraktu, podchodzi do nas jakiś człowiek. Panowie z Polski? — pyta najczystsza polszczyzna. Tak, my z Polski — odpowiadamy. To student polonistyki, zakochany w polskiej literaturze podobnie jak nasz przewodnik Sasza. Sasza recytuje z pamięci wiele polskich wierszy, między innymi Mariana Piechala „W drugiej połowie XX wieku”. Bardzo nam się ten Sasza udał. Żeby dać wyraz naszemu zadowoleniu, powtarzamy nie raz: „Dobra nasza, panie Sasza”. Sasza śmieje się — niewatpliwie dowody obustronnej sympatii.

Podsumowanie, wnioski? Podsumowania i wniosków nie będzie. Ale jeszcze kilka uwag i spostrzeżeń. Mniej więcej od trzech lat podnosi się stan zaopatrzenia i

wzrasta dobrobyt. Widać to po sklepach, w których pełno towarów i pełno kupujących. Jeszcze przed nie dawnym czasem cudzoziemcy, przybywający do Moskwy, Leningradu i innych miast, narzekali na obsługę i długie wyczekiwanie w restauracjach na posiłki. Jadali w hotelach i jadalniach, kawiarniach i barach — obsługa była sprawna, a kelnerzy uprzejmi. W tym kraju zmiany następują szybko. W tym kraju ludzie są zapracowani, to prawda. Nie mają zbyt wiele czasu dla siebie. Spieszą się i przepychają, nie cechuje ich galanteria i zdawkowa grzeczność. Nie ubierają się ekstrawagancko, nie wyróżniają ich przesadna obfalość o wygląd zewnętrzny, choć i tu nie brak modniósów, odzianych w wąski spodni i utrefionych na wzór bitlesowski. W jednym z lokalów leningradzkich widzieliśmy młode dziewczęta w mini-spódniczkach. Ale przecież nie to jest istotne i nie to wskazuje na zmianę atmosfery, choć — moim zdaniem — i tych szczegółów lekceważyć nie należy. Rosjanie są ludźmi bezpośrednimi i gościnnymi. Ta bezpośredniość wpływa już z ducha samego języka. Mało jest w świecie języków, które by tak ułać wiały nawiązywanie rozmowy i kontaktów jak język rosyjski. Toteż ludzie, których spotykaliśmy, odznaczali się otwartością i naturalnym wyczuciem towarzyskim. Lubią rozmawiać, są ciekawi świata, chcą wiedzieć jak jest gdzie indziej, ale nade wszystko cieszy ich każde nowe osiągnięcie we własnym kraju. Gdy przyjdzie do dialogu, łatwo znaleźć z nimi wspólny język i łatwo się porozumieć. Okazuje się wtedy, że bariery uprzedzeń są głównie wynikiem wzajemnej nieznajomości. Każde osobiste zetknięcie, każda rozmowa przybliża nas ku sobie. I w Moskwie, i Leningradzie, i w innych miastach znajdowaliśmy sympatię i faktyczne uznanie dla polskiej kultury, dla talentów i błyskotliwości Polaków.

JAN KOPROWSKI



nej akcji. Moim synom nie trzeba było takiej propozycji dwa razy powtarzać, rwali się do walki. Tym razem chodziło o zdobycie swetrów dla przyszłej parlyzantki, która miała wyjechać z Łodzi. Hutor przeprowadził wywiad i ustalił, że najlepszym miejscem będzie magazyn fabryki dziewiarskiej przy ul. Sanockiej 10. Poszliśmy w pięciu, to znaczy Hutor, trzech Lisowsky i Bogdan Grzelak, który w napadzie na „Luftschutz” nie brał udziału ze zrozumiałych względów. Bogdana i moich synów uchaakteryzował Janek Lewandowski, który był fryzjerem, to znaczy po prostu dolepił im wąsiki i zmienił uczesanie. Ja nasadziłem na głowę taką czapkę, która zastąpiła pół twarzy, jedynie Czesiek znów wcale nie zadbał o swój wygląd, jak zwykle był bez czapki.

Pod mostem kolejowym na Retkini, Broniek Znojek wręczył mi pistolety. Miał on tam swój magazyn broni, o którym mało kto wiedział. Do stałem wtedy 6 sztuk: 1 „komin”, 2 „siostrzycki”, 2 „braciszków” i 1 „siódemkę”.

nazwy poszczególnych typów pistoletów.

Wyruszyliśmy wieczorem pieszo z Retkini na Chojny. Mielismy 4 walizy, 1 teczkę i kilka worków. Układ tego magazynu przedstawiał się na stępująco: z frontu od ulicy były drzwi sklepowe, na noc zaryglowane. Wejście od podwórza prowadziło przez sionkę, w której znajdowało się dwie drzwi — na lewo do magazynu, na prawo zaś do prywatnego mieszkania Niemca, buchaltera tej firmy. Do sionki weszliśmy bezszelestnie. „Śmiaty” po niemiecku nakazał dozorcę otworzyć drzwi. Kontrola bezpieczeństwa przeciwpożarowego — oznajmił.

Dozorca był Polak, starszy człowiek. Ujrzawszy lufy, nie pisał ani słowa, bez oporu pozwolił się związać.

— Nic ci nie grozi, jeżeli będziesz milczał — rzekł mu Hutor. — Nie bój się, my nie bandyci, jesteśmy z Gwardii Ludowej.

Grzelak został w sionce na czatach, my ładowaliśmy swetry. Kiedy robota była już na ukończeniu, nagle z sieni

doszły nas głosy i szamotanice. To przysłała z kolacją żona dozorcę i Grzelak, zaskoczony, nie wiedział, co zrobić w tej sytuacji. Próbował ją uciszyć, ale było już za późno. Szamotanie usłyszał ów buchalter, a był on na tyle sprytny, że nie spojrzął do sieni, lecz od razu wyskoczył oknem na ulicę i podniósł alarm. Akurat Pabianicki przechodził patrol i w odpowiedzi na krzyk Niemca, natychmiast pospyła się strzałami. Wyskoczyliśmy, chwytając pełne już walizy i worki. Uciekając, zaczęliśmy strzelać, co powstrzymało patrol. Pozwoliło to nam uwolnić się od pogoni, mimo że byliśmy obciążeni bagażem. Później ludzie mówili, że któryś z Niemców został trafiony. Z nas nikt nie był nawet draśnięty. Dobiegając do Rzgowskiej, grupa rozdzieliła się. My z Hutorem i „Śmiatym” wpadliśmy do Marii Krapowej, a pozostała dwójka zbiegła do Wodmanów.

I ta akcja wypadła na medal. Tyle tylko, że wycofując się w pośpiechu, pozostawiliśmy na kontuarze w magazynie teczkę Bogdana Grze-

laka. Gestapo dodało do tezeki potężny nóż kuchenny i wystawiło oba te ekspozyty, jako mienie porzucone przez polskich bandytów, w witynie „Litzmanstaedter Zeitung” przy ul. Piotrkowskiej. „Kto wskaże właściciela tezeki — głosiło obwieszczenie — otrzyma 10 tysięcy marek na grody”.

W teckę tej Grzelak codziennie do pracy zabierał drugie śniadanie, istniało więc prawdopodobieństwo że ktoś go za skarzy. Bogdan musiał się ukryć. Widocznie jednak gestapo nie otrzymało żadnego meldunku, gdyż sprawa — jak się to mówi „przyschła”. Był wszakże ktoś, kto teckę rozpoznał. To matka Grzelaka, Bogdan relacjonował nam potem, że o mały włos nie zemdlala pod wityną, wrażenie było tak piorunujące. Do tej pory nie orientowała się w ogóle, że syn konspiruje.

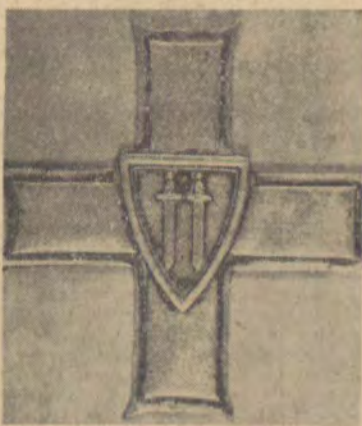
Dalsze losy tego dzielnego chłopca nie ułożyły się po myślnie. Podczas wspany chciał przejść granicę GG razem z „Górale” — Tadeuszem Zawadzkiem. Zostali schwytani i

pół roku przesiedzieli w więzieniu piotrkowskim, po czym Niemcy, o dziwo, doprowadzili ich z powrotem do granicy, puścili wolno i kazali wracać „nach Litzmanstadt”. Dożyłszy do Łodzi, trafił do mojej córki, która ułatwiła im kontakt z mną. Kierowałem już wówczas Gwardią Ludową w Legionowie. Tym razem przejście granicy udało się. Gdy ich ujrzałem, przeraziłem się, tacy byli wyniszczeni. Najpierw posłałem ich na miesiąc do chłopca na odżywienie, a dopiero później — wzięłem do roboty. Prosił, żeby dać im broń. Kiedy dałem — całowali ją.

Grzelak został komendantem terenowym GL w Rembertowie. Złapali go granatowi policjanci. Przywiązali do słupa na rembertowskim poligonie, umierał przez wiele godzin. Bili go i strzelali, pudłując dla zabawy. To najstraszniejszy rodzaj torturu. Wreszcie ktośś kula, może przypadkiem, położyła kres jego męczarniom. Świadkiem śmierci Bogdana był sekretarz PPR w Rembertowie — tow. Wincenty Gasiowski, który pracował na poligonie jako

robotnik placowy. Te szczegóły znam właśnie od niego.

Tak oto zginął jeden z piętki, która zrobiła „eks” na magazyn swetrów. Ale nie tył ko on nie przeżył. Następny: Czesiek Hutor — zamordowany w kazamatkach gestapo w Łodzi. Następny: mój 17-letni syn Tadzik.





# 1 MAJA ale przed wojną

Rozmowa  
z Antonim Kasprowiczem

Antoni Kasprowicz urodził się w Łodzi roku 1908. Wydał — zbiory poetyckie: „Słońce za murem” (Łódź 1935), „Chwasty płonące” (Łódź 1937), „Flet czarodziejski” (Warszawa 1939), „Poemat łódzki” (Biblioteka Poetów, Łódź 1957), „Wiersze wybrane” (Łódź 1961) — oraz zbiory opowiadań: „Złodzieje owoców” (Łódź 1964) i „Pod kwitnącym kasztanem” (Łódź 1966).  
W czerwcu tego roku ukaza się nakładem WL tom wierszy Kasprowicza: „W cieniu Oriona”, a w przyszłym roku — kolejny tom prozy.

**ODGŁOSY:** — Jaka była Pana droga do pisarstwa, do poezji?

**A. KASPROWICZ:** — Nie sądzę, aby mój start różnił się czymkolwiek od startu innych literatów. Ot, po prostu, pierwszy wiersz w roku 1928 na łamach „Hasła łódzkiego”. Wydarzenie to przyjąłem bez większego entuzjazmu; może dlatego, że posłałem do redakcji cztery wiersze, a oni musieli akurat wydrukować ten najgorszy, ten, który bardziej niż inne nadawał się do kosza...

**ODGŁOSY:** — I co, ten debiut pozwolił Panu uwierzyć we własny talent, w powołanie?

**A. KASPROWICZ:** — Przesada. Ja wcale nie szukałem w druku potwierdzenia swojego talentu. Ja nie zastanawiałem się wcale, czy ten talent posiadam. Nie mnie to nie obchodziło. I nie obchodzi. Przyczyną, dla której zostałem poetą, była potrzeba mówienia, potrzeba szerokiej, publicznej wypowiedzi.

**ODGŁOSY:** — My jednak, zwolennicy Pańskiej twórczości, wiemy, że w tych najmłodszych latach miał pan duszę artysty. Malował Pan, była nawet wystawa Pańskich akwareli. Grał Pan na pianinie, w domu co prawda, dla czterech ścian, ale za to godzinami. Wszystko to wskazuje, że Pańska droga do literatury szła za głosem powołania.

Wiem, Pan nie lubi o tym mówić. Wobec tego: — Jak przebiegał Pana pierwszy wieczór autorski? Kiedy to było?

**A. KASPROWICZ:** — W 1934 roku. Na jesieni. Komitet łódzki PPS zaproponował mi wyjazd do Pabianic, gdzie odbywał się zjazd Związku Zawodowego Włókniarzy. Po zjeździe miałem czytać swoje wiersze. Ale nie było za co do Pabianic pojechać. Kolega Len, pożyczyl mi pięć złotych, na tramwaj i „na strawne”. Pojechałem. Pamiętam, że padał ulewny deszcz, i że przemoknięty do suchej nitki czekałem w mrocznym wilgotnym korytarzu na koniec zjazdu i początek swojego występu. Nagle podszedł do mnie jakiś człowiek.

— Czy pan Kasprowicz?

— Tak — powiedziałem. Byłem przekonany, że to jeden z organizatorów mojego występu.

— Pan ma tu czytać swoje wiersze?

— Tak.

— A czy te wiersze były w cenzurze?

— Nie, ale to chyba niekonieczne?

— Ach, oczywiście, to nie ma większego znaczenia.

Poprosił, abym zszedł z nim na parter. Tam odchylił kłapę marynarki, pokazał policyjny znaczek.

— Wracamy do Łodzi — powiedział.

To był mój pierwszy wieczór autorski.

**ODGŁOSY:** — Czy ma Pan w swojej karierze przygody bardziej dramatyczne?

**A. KASPROWICZ:** — Oczywiście. Jako współpracownik niemal wszystkich lewicowych, albo lewicujących pism na terenie kraju — szybko naraziłem się władzom sanacyjnym. Mała dygresja: drukowałem w tym czasie nie tylko wiersze rewolucyjne; wydany w 1937 roku zbiór „Chwasty płonące” — to przede wszystkim liryki, pisałem je w Zakopanem, w obliczu gór i z gór czerpałem natchnienie; tomik ten skwitowany był przez krytykę bardzo pochlebny recenzjami; jedna z nich, Karola Zawadzkiego, przechowuję do dziś wraz z listami otrzymanymi po opublikowaniu „Chwastów” od Wacława Sieroszewskiego i Juliana Tuwima.

Ale do rzeczy: naraziłem się władzom sanacyjnym. Czułem, że mają na mnie oko. Za marsze w pochodach pierwszomajowych. Za reportaże, w których pisałem o bezrobociu, o bezcelnym wyzysku, o głodnych przedmieściach. Za wiersze zamieszczone w „Lewarze”, „Lewym Torze”, „Nowym Piśmie” i „Odrodzeniu”. Za wieczory autorskie, które różniły się tym od dzisiejszych spotkań z młodymi poetami, że nie czytało się wierszyków o herbatce i o tym, jak

ciocia Mania grzeje sobie nogi przy kominku, pogrążona w głębokiej zadumie, pełna jakichś niebawmych treści, rozdarta wewnętrznie. Wtedy wiersze były funkcjonalne, miały czemuś służyć, jątrzyć, oburzać, wzruszać, recytowała je z poetą cała sala i widziałeś, człowieka, że twoja robota nie idzie na marne.

Jednego dnia wracam do domu, patrzę: żona biała, roztrzęsiona, policjant stoi z widelcem, wie pan — z bagnetem na broni. I jakiś cywil. Rewizja. Rzecz jasna — granatów, bomb nie szukali, a trefnej literatury, broszur, odezw robotniczych, ulotek. Miałem tego sporo. Więc oni tak: trefną na lewo, nietrefną na prawo. Tu Marks, tam Słowacki. Tu Lenin, tam Krasiński. Dwie się wielkie sterty z tego zrobiły. Ale moja żona, biała niby, roztrzęsiona, głowę miała na karku: podmieniła w zamieszaniu te sterty, i szpicel jako dowód rzeczowy wywniół liryki, a Marksa z Leninem zostawił. Jak się zorientował i wrócił, to już nic nie było, bo żona wszystko wrzuciła do pieca i wymieszała popiół po grzebaczem.

Ale moje kłopoty zakończyły się dopiero po trzech dniach. Wzięli mnie w urzędzie śledczym na Killińskiego.

**ODGŁOSY:** — Chcieli pana nastraszyć, przestawiać literacko?

**A. KASPROWICZ:** — Tak. Mówili: — Aajaj, taki zdolny poeta. Tak ładnie mógłby pisać. A on się w tych brudach politycznych babrze. Nic, tylko te brudy.

**ODGŁOSY:** — Był Pan kandydatem na więźnia obozu koncentracyjnego w Berezie Kartuskiej?

**A. KASPROWICZ:** — Byłem.

**ODGŁOSY:** — Dlaczego?

**A. KASPROWICZ:** — A bo ja wiem. Pewnie znowu zawinił wierszyki.

**ODGŁOSY:** — Jak się pan z tego wywinął?

**A. KASPROWICZ:** — Uciekłem. Ale może po kolei. Przyszli po mnie w dwóch: policjant i szpicel. Policjant miał pościwą, proletariacką gębę — szpicel ciągle trzymał ręce w kieszeni. Pan rozumie: trzymał ręce nie na paczce zapalek. Wyprowadzili mnie na podwórko. Tam już pełno ludzi. Znany byłem na Widzewie, ściślej: na Szezyngu, w okolicach dzisiejszej Przędzalnianej. Więc tam już pełno ludzi i wszyscy krzyczą:

— Trzymaj się, Antek!

Kochani, proszę, uczciwi ludzie. Ciężko odchodzić. Ile ja im podałem napisane. Prośby o pracę, o zwolnienie z więzienia, o rentę starczą, zapomogi, jałmużny. Wszystkim się wydawało, że jak poeta podanie zredaguje — to mucha nie siada: zaraz więzienia się otworzą i pieniądze popłyną strumieniem.

Na przystanku wpakowali mnie w tramwaj. Jechaliśmy na pomoście. Policjant tak lawirował, żeby zasłonił mnie temu szpicelowi w cywilu.

— Pryskaj — szeptał. — Ja się odwrócę, a ty pryskaj.

Ale szpicel wciąż trzymał ręce w kieszeniach swojego szpicelowskiego płaszcza z podniesionym do góry kołnierzem. Więc ja

pomyślałem: trzeba wyczekać lepszy moment.

Ten moment trafił się już w wojnę, już w pociągu, który wiozł mnie i innych do więzienia. Swoją drogą — trzeba mieć pecha: aresztowano mnie w wigilię wojny i kiedy nasz transport dojeżdżał do Kutna pod bagnetami Polaków — nadleciały niemieckie samoloty i zaczęły bombardować pociąg. Niech pan słucha — na krzyk więźniów, konwojenci otworzyli wagony i wysypaliśmy się wszyscy na pole, twarzą do ziemi. Samoloty były nisko i siekły po nas z automatów. Grupa więźniów i jakiś konwojent, w pogoni za bezpiecznym schronieniem, ukryli się w stogu siana. Nadleciał samolot i wrzucił bombę. Słup ognia. Nikt z tego stogu nie ocalał. Potem, kiedy bombardowanie ustało i Niemcy odlecieli, byliśmy przekonani, że jesteśmy wolni, że konwojenci powiedzą:

— No, chłopcy, ratujcie się jak kto może. Nie podobnego. Ochłonęli trochę i zaczęli nas z powrotem popędzać do wagonów. To było oburzające, okropne, wstrętne.

Postanowiłem uciekać. Skoczyłem do rowu i przeczolgałem się do betonowej cembrowiny, nad którą przebiegała droga do jakiejś wsi. Udało się.

**ODGŁOSY:** — Jak potoczył się Pana losy podczas okupacji.

**A. KASPROWICZ:** — Z Kutna powędrowałem do Warszawy. Stamtąd z kilkunasto ma cywilami usiłowałem przedrzeć się nad Bug. W jakiejś wiosce osaczyli nas Niemcy i zmagazynowali w wielki, wielotysięczny transport, pojechaliśmy na przymusowe roboty do Prus Wschodnich. To były też wstrząsające chwile; opisałem je częściowo w opowiadaniu „Obcy”, które weszło do tomu „Złodzieje owoców”.

Z Prus Wschodnich po kilku latach, w czasie nalców radzieckich na miasto, uciekłem na stronę radziecką. Trafiłem do Wilna i tam otrzymałem przydział do szkoły podstawowej w Niemenczynie. Naucałem do wyzwolenia. No, a potem, za głosem serca, do Łodzi.

**ODGŁOSY:** — Jeśli Pan pozwoli, wrómy jeszcze do okresu międzywojennego. Czy literatura była wówczas źródłem Pańskich dochodów?

**A. KASPROWICZ:** — Ach, i to jeszcze jakich. Za pierwszą książkę nie dostałem nic. Za drugą i trzecią — wszystko prócz pieniędzy: listy, pochlebne recenzje i tysiące serdecznych słów: A za wiersze wygłaszane na wieczorach autorskich i drukowane w prasie lewicowej, to już pan wie, co dostałem, i nie będziemy do tego wracać.

**ODGŁOSY:** — Ale drukował Pan nie tylko w prasie lewicowej. W „Skamandrze” chyba pisał?

**A. KASPROWICZ:** — Kiedyś byłem w Warszawie i nie było za co wracać. Poszedłem do jednej redakcji. To była bardzo uczciwa redakcja. Ale biedna. Wydrukowali kilkanaście moich wierszy — ale nie zapłacili ani grosza. Więc zacząłem się przymawiać. Zrobili składkę. Po złotówce, po dwa... Dziesiątkę uzbierali. To całkiem godziwe honorarium...

**ODGŁOSY:** — A zatem — co było podstawą Pana egzystencji?

**A. KASPROWICZ:** — Chwytałem się różnych zajęć. Od roku 1935, po wydaniu pierwszej książki, pracowałem w Łódzkim Muzeum Archeologiczno-Etnograficznym, w ekipie wykopaliskowej. Robiłem rysunki, szkice. Następnie, aż do wybuchu wojny, uczyłem się posady urzędnika w Wojewódzkim Biurze Funduszu Pracy. Posada — to wielkie słowo. Kontrakt odnawiano ze mną co trzy miesiące, więc co trzy miesiące truchlałem na myśl, że dostanę wypowiedzenie. A pretekstów po temu było sporo:

— Panie Kasprowicz — mówi szef — gdzie pan był wczoraj?

— W domu. Chorowałem.

— Otóż nie, Kasprowicz. Pan był zdrow. Pana widzieli w pochodzie. Jeszcze raz coś takiego i będziemy musieli zrezygnować z pańskich bezdennych usług.

**ODGŁOSY:** — Ma pan jakieś miłe wspomnienia z tamtego okresu?

**A. KASPROWICZ:** — Wspomnienia z młodości są zawsze miłe. Bolesnie miłe. Choćby ta młodość była nie wiem jak twarda. Nigdy nie zapomnę wieczorów autorskich z niezłym już Grzegorzem Timofiejewem. Występowałem także razem z Mariannem Piechałem i Edwardem Szymańskim, który był świetnym poetą. Pamiętam nasz wspólny wieczór w lokalu PPS przy ulicy Fabrycznej. Recytowaliśmy wiersze, ramię w ramię. On umiał porwać salę. Nieco później, na podobny wieczór, Szymański zaprosił mnie do Warszawy.

**ODGŁOSY:** — Wybrał Pan drogę poety zaangażowanego w problemy społeczne, poety zbudowanego, niejednokrotnie nawołującego do rewolucji. Wybrał pan tę drogę wówczas, kiedy się jeszcze za to nie dostawało medali, pieniędzy ani wieńca wawrzynów.

**A. KASPROWICZ:** — Wy, młodzi, to musicie wszystko mitologizować. Ja jestem zwykłym, szarym człowiekiem, a nie jakimś tam bohaterem. Poetą rewolucji był Broniewski.

**ODGŁOSY:** — Ten sam Broniewski, który pisał o Panu w „Nowej Kulturze”.

**A. KASPROWICZ:** — Istotnie, pisał. Ale myślę, że sam Broniewski też nie był szczęśliwy, kiedy krytyka zaważała jego poetykę do rewolucji, do zagadnień robotniczych. A pan byłby szczęśliwy, gdybym powiedział, głosił wszem i wobec, że co jak co, ale o lumpach, to Pan pisze najlepiej, że jest Pan baedekerem przez słuszy, ale o kwiatkach i siostrach zakonnych pisał Pan nie umie?

**ODGŁOSY:** — Jednym słowem: sprzeciwia się Pan wszelkim etykietkom, zaszeregowaniom. Ten, kto napisał dwie książki o Powstaniu Styczniowym nie jest wcale pisarzem historycznym, bo jutro może wydać powieść współczesną? Andrzejewski wziął nagrodę za „Lad serea”, potem był „Popiół i diament”. Jeszcze potem — „Bramy raj”, gdzie postawił tylko jedną kropkę?

**A. KASPROWICZ:** — O, właśnie. Każdego z nas interesuje wiele spraw; o tym wszystkim człowiek chciałby pisać.

Rozmawiał: ANDRZEJ MAKOWIECKI



Łódź

Stary Rynek

DAWID SFARD

## Skąd ptaki

Skąd ptaki tu śpiew  
Nad Oświęcimiem?  
Krwia dziecienną tuczony  
Krzewie, jakie twe imię?

Błyskawica niebo na pół drze  
I czarna chmura płomień rodzi.  
Nieme słowo muska mnie i drze  
I ból jak ślepa owca za mną chodzi.

Żeby chociaż raz tu kamień padł  
Na drogę mordercy  
I wszystkie jego dni  
Zgasił strach sierocy naszych siedzi.

Żeby raz choć płomień się rozżarzył  
I w pełnym świetle ujrzał cały świat  
Kainowy znak na jego twarzy  
I łez naszych morze!

## Znów jestem młody

Mojej nowej radości  
istota,  
i sens moich starych smutków.  
w tobie odgadłem, co do joty.

I znów jestem młody —  
niepokoju żar w sercu moim płonie.  
Siwa głowa moja  
w białym kwieciu tonie.

I już ku bigłtom  
jak ptaki lecimy nad domami —  
cała ziemia w świetle pod nami  
i wszystkie drzewa kwitną.

Przeł. ARNOLD SUŁCKI



# O FESTIWALU POEZJI

W dyskusji na temat miejsca i roli II Ogólnopolskiego Festiwalu Poezji w życiu kulturalnym Polski Ludowej wypowiadają się dziś twórcy działający w Łodzi: nestor pisarzy łódzkich, wybitny poeta i założyciel kierunku poetyckiego zwanego autentyzmem (który i dziś jeszcze ma swych gorących zwolenników i czynnych poetów) Stanisław Czernik oraz zasłużony poeta, prezes Oddziału Łódzkiego Związku Literatów Polskich Marian Piechal.

Z przyjemnością też odnotowujemy zainteresowanie sprawami poezji ze strony naszych Czytelników, czego dowodem są napływające do redakcji listy. Do listów tych postaramy się ustosunkować w podsumowaniu naszej dyskusji.

Tymczasem, na podstawie informacji uzyskanej w Zarządzie Oddziału Związku Literatów Polskich w Łodzi podajemy skład jury konkursów poetyckich II Festiwalu:

Zbigniew Bienkowski, Stanisław Brucz, Ernest Bryll, Jan Zygmunt Jakubowski, Jerzy Kwiatkowski, Artur Międzyrzecki, Marian Piechal, Julian Przyboś, Artur Sandauer, Stefania Skwarczyńska, Ryszard Stefańczyk.

Rozmawiamy  
z Marianem  
Piechałem

## Konfrontacja wszystkich pokoleń

ODGŁOSY: Jako przedstawiciel Komitetu Organizacyjnego II Ogólnopolskiego Festiwalu Poezji w Łodzi, jak może Pan ocenić stan przygotowań do tego wielkiego wydarzenia?

MARIAN PIECHAŁ: Przygotowania są w pełnym toku, zaszło jednak pewne nieporozumienie. Otóż muszę stwierdzić, że podobnie jak w roku ubiegłym, tak też i w tym, nie powołano komitetu organizacyjnego festiwalu sensu stricto. Brzęmię czynności przygotowawczych wzięli na siebie pracownicy Wydziału Kultury Rady Narodowej m. Łodzi i Zarząd Oddziału Łódzkiego Związku Literatów Polskich. Jaki to da rezultat zobaczymy, choć już teraz mogę zapewnić, że najbliższy festiwal będzie miał ranię niedociągnięć organizacyjnych niż ubiegłoroczny. Niewątpliwie jednak należałoby postuluować na przyszłość powołanie stałego komitetu organizacyjnego złożonego z przedstawicieli łódzkiego środowiska literackiego i może nawet, w pewnych wypadkach, komitet ten mógłby być wzmocniony przez poetów pozalódzkich jako rzeczowników poszczególnych środowisk krajowych.

ODGŁOSY: Na czym przede wszystkim będą polegały te usprawnienia?

MARIAN PIECHAŁ: W ubiegłym roku referaty były może za mało zróżnicowane i zbyt ogólnikowe, chciano w nich od razu wszystko wyczerpać, jak na przykład referat o literaturze łódzkiej, który sprawiał wrażenie przedławianego omnibusu. Stało się tak nie z winy referentów, tylko raczej z braku praktyki, jaki towarzyszył przygotowaniu pierwszego festiwalu. Oczywiście odpowiedni dobór referenta należy do organizatorów, a ich sugestie mogą poniekąd wpłynąć na tok i charakter pracy, a tym samym dyskusji

na festiwalu. Wydaje mi się, że w bieżącym roku dokonaliśmy pewnej poprawy w tym kierunku.

ODGŁOSY: Czyich wrecz wystąpię i na jaki temat możemy się spodziewać na festiwalu?

MARIAN PIECHAŁ: Problematyka referatów będzie w tym roku bardziej konkretna, sięgnęliśmy także do nowych referentów. Prof. dr Jan Zygmunt Jakubowski wygłosi referat wprowadzający pt. „Poezja a życie społeczne”. Sam tytuł referatu, zdaje się, doskonale określa charakter i zakres jego treści. Drugi z kolei referat na temat najmłodszej poezji polskiej wygłosi znany krytyk Jerzy Kwiatkowski z Krakowa. O ostatnich dwóch latach w twórczości poetów łódzkich mówić będzie Stanisław Brucz.

Spodziewać się należy, że referaty będą miały możliwość szerokie ujęcie, aby wywołać ożywioną dyskusję. Wiadomo, że referaty raczej stawiają problemy, niż je rozstrzygają. Od rozstrzygnięć są obrady festiwalowe a właściwie praktyka samych poetów.

ODGŁOSY: Jak Panu zapewne wiadomo „Odgłosy” zainicjowały dyskusję na temat festiwalu postulując szereg modyfikacji, które mogłyby się przyczynić do powiększenia jego rangi. Czy nie zechciałby się Pan do nich ustosunkować?

MARIAN PIECHAŁ: Inicjatywa łódzkiej nie można oceniać wyłącznie na podstawie rezultatów I festiwalu, tam było za dużo improwizacji. Tej improwizacji postaramy się teraz uniknąć i to już będzie zmiana. Nie znaczy to jednak, że festiwal zawsze będą miały ten sam charakter, nie zakładamy sztywności. Myślimy o modyfikacjach, ale dokonują się one nie od razu.

Przeczytałem Pański artykuł „Pancerni i książę”. Pod wieloma propozycjami mógłbym się podpisać. Ale ich realizacja nie jest sprawą prostą. Gdybyśmy na przykład chcieli nagradzać poetycką książkę roku, to prawdopodobnie naraziłbyśmy się Ministerstwu Kultury i Sztuki, które przyznaje coroczne nagrody. Jest rzeczą wątpliwą, czy zechciałoby sedować swoje uprawnienia na jurorów łódzkiego festiwalu. Ma ta sprawa jeszcze inny aspekt. Nie zapominajmy, że Wydawnictwo Łódzkie jest dość upośledzone, jeśli idzie o ilość książek poetyckich, które może wydać, tym samym środowisko nasze byłoby w gorszej sytuacji niż inne ośrodki.

Z niezwykle zainteresowaniem przeczytałem w „Odgłosach” wypowiedzi na temat łódzkiego festiwalu Juliana Przybosia i Zbigniewa Bienkowskiego, których zawsze żywy stosunek do Łodzi znam nie od dziś. Za najbardziej cenne uważam postulaty Przybosia co do haseł, pod jakimi powinny się odbywać dalsze festiwale łódzkie: poezja a socjalizm, poezja a ludzka praca. I mam wrażenie, że na tegorocznym festiwalu przynajmniej w części znajdują one swój wyraz. Zależać to będzie w dużej mierze od ujęcia tematu przez referentów.

Ma słuszną Bienkowski stwierdzając, że żaden festiwal nie może dać trwałego fermentu, lecz jedynie ożywić ruch poetycki. Jest to już bardzo wiele i właściwy sens wszelkich festiwali do tego się sprowadza. Co do „gadulstwa”, które jest plagą wszelkich obrad – jak dotychczas nie wynaleziono żadnego całkowicie skutecznego środka zapobiegającego. Każdy z uczestników zabiera głos na własną odpowiedzialność, a wobec nadużyć w tej mierze bezradni są zarówno organizatorzy jak i przewodniczący zebrania.

Co się zaś tyczy rocznicy Leśmianowskiej, to Łódź projektuje specjalną imprezę poświęconą temu znakomitemu poetce, w którego biografii odnaleźć można bezpośrednio związki z naszym miastem.

ODGŁOSY: Jakie znaczenie będzie miał festiwal dla rozwoju poezji w Łodzi, a może i w kraju?

MARIAN PIECHAŁ: Festiwal ma znaczenie przede wszystkim społeczne. Niezależnie od tego, że może wydobyc na światło dzienne wartościowe utwory, festiwal, jak każda tego rodzaju impreza, niewątpliwie zwraca uwagę na Łódź, jako na żywe i twórcze środowisko poetów. Jest bowiem nasze miasto przede wszystkim skupiskiem poetów. Ciąg takich festiwali będzie oddziaływał zarówno na opinię publiczną jak też i na młodych, na debiutantów. Nie zapominajmy, że festiwal daje okazję do konfrontacji wszystkich pokoleń, nie czyni podziału na młodych, średnich i starych nawet przy nagradzaniu. Festiwal wreszcie służy sprawie walki o równorzędność naszego środowiska literackiego z najsilniejszymi ośrodkami w kraju. Już choćby z tych względów przynosi korzyść Łodzi wpływając na ożywienie jej życia kulturalnego.

Rozmowy przeprowadził:  
KONRAD FREJDLICH

Rozmawiamy  
ze Stanisławem  
Czernikiem

## Dostrzec robotników!

ODGŁOSY: Jak może Pan ocenić ubiegłoroczny I Ogólnopolski Festiwal Poezji w Łodzi i jaka jest, jeśli można to tak wyrazić, prognoza Pańska dotycząca następnego festiwalu?

STANISŁAW CZERNIK: Zaczę od zastrzeżeń. Otóż rozmowa dzisiejsza jest dla mnie w pewnym stopniu zaskoczeniem. Na festiwalu ubiegłorocznym byłem osobą bez mała postronną, nie brałem w nim czynnego udziału, poza obecnością. Dlatego też nie mogę podjąć się oceny jego znaczenia, mój głos w tej sprawie byłby zapewne niecelowy. Mogę powiedzieć tylko tyle, że ubiegłoroczny festiwal, jego organizacja i wykonanie, uzależnione były w dużej mierze od wkładu z jednej strony wybitnego zespołu poetów i krytyków warszawskich, z drugiej zaś od miejscowych znawców poezji i czynników społecznych. Na ile sprostał swym zadaniom, na tyle festiwal waży w naszym życiu literackim.

Zastanowił mnie tam szczególnie jeden moment interesujący na tle stosunków łódzkich. Otóż w festiwalu tym brał udział i otrzymał nagrodę w konkursie prawdziwy poeta a jednocześnie robotnik Bronisław Wieczorkowski znany zapewne „Odgłosom”, gdyż jak pamiętam, publikowały jego wiersze. Ma to dla mnie symboliczną wymowę i w tym względzie przyłączyłbym się do zdania Przybosia, który postawił zagadnienie sojuszu sztuki i pracy. Widziałbym ten problem jednak nieco szerszej, nie tylko w podejmowaniu tematyki pracy przez poetów do pewnego stopnia elitarnych, widziałbym tu problem węższego zainteresowania środowiska robotniczego sprawami sztuki w ogóle, a poezji w szczególności.

Daje się zauważyć wśród młodych poetów i krytyków wybitnie negatywny stosunek do twórczości ich literackich rówieśników. Padają mocne, wzajemne oskarżenia. Można to dostrzec zwłaszcza na łamach czasopism warszawskich, w „Współczesności” i w „Poezji”...

gólności. Jest to wyjątkowo istotne właśnie w Łodzi, typowym mieście robotniczym. Gdzie, jak nie tutaj, będzie lepsza okazja poczynienia prób w tym kierunku. Wyróżnienie robotniczego poety może wskazywać, że nie jest to teren martwy. Wśród robotników, zwłaszcza starszego pokolenia, często można spotkać takich jak Wieczorkowski, którzy kochają poezję, próbują z nią żyć i nawet skutecznie współuczestniczą w jej tworzeniu. Choć oczywiście zdają sobie sprawę, że jest to zagadnienie trudne, odpowiedzialne i może być zawodne.

Jeszcze trudniej przychodzi mi wypowiadać się o następnym festiwalu. Nic o nim nie wiem poza tym, co pisały „Odgłosy”. Jak się orientuję program festiwalu nie został przedyskutowany w naszym środowisku, więc nie mam do niego żadnego stosunku. Moja wypowiedź na ten temat byłaby nieistotna i bez znaczenia.

ODGŁOSY: Poruszył Pan interesującą sprawę poetów samorodnych ze środowiska robotniczego. Równie ważne wydaje nam się oddziaływanie festiwalu na poetów młodych, debiutujących, którzy mają ambicje poświęcić się poezji wyłącznie...

STANISŁAW CZERNIK: Festiwal związany jest z konkursem. Żyjemy w okresie manii konkursów i dlatego nasuwa mi się pewne wątpliwości. Wszystkie konkursy kierują się tą samą manią i ich wpływ, zwłaszcza na piszącą młodzież, może być jednocześnie dodatni i ujemny. Które wpływy przeważą? Mamy niestychane ilości poetów nagrodzonych, istnieją po prostu zbieracze nagród i trudno jest dziś spotkać debiutanta, który by się nie mógł wykazać kilkoma czy nawet kilkunastoma laurami. To stwarza z jednej strony klimat sprzyjający rozwojowi megalomanii, z drugiej zaś wyrabia u tych młodych poczucie kryzysu, gdyż łatwiej jest o nagrodę niż o uznanie społeczne.

Daje się zauważyć wśród młodych poetów i krytyków wybitnie negatywny stosunek do twórczości ich literackich rówieśników. Padają mocne, wzajemne oskarżenia. Można to dostrzec zwłaszcza na łamach czasopism warszawskich, w „Współczesności” i w „Poezji”...

ODGŁOSY: Czy podziela Pan te krytyczne akcenty zwłaszcza w odniesieniu do twórczości młodych poetów łódzkich?

STANISŁAW CZERNIK: Niedawno „Poezja” nieprzychylnie oceniła serię tomików poetów łódzkich. Ja osobiście nie przyłączyłbym się do zdania, że młoda poezja jest rzeczywiście tak mizerna, jak to niejednokrotnie wynika z wypowiedzi młodych krytyków. Zawsze popierałem ruch młodych, a jeszcze i dziś z chęcią i uwagą czytam tomiki debiutantów. Zastanawiam się nad nimi i jestem zdania, że sprawa nie przedstawia się tak źle.

Jeśli idzie o sytuację w Łodzi, widzę tu wyróżniające się sylwetki młodych poetów. Większość młodzieńskich prób reprezentuje wysoki poziom, czasem im oczywiście czegoś brak, ale to rzecz zrozumią. Mam też dobre mniemanie o rezultatach niektórych konkursów.

ODGŁOSY: Zgodzi się Pan jednak, że obecność młodych w małym stopniu zaznaczyła się na zesłorocznym festiwalu łódzkim, Czym to można tłumaczyć?

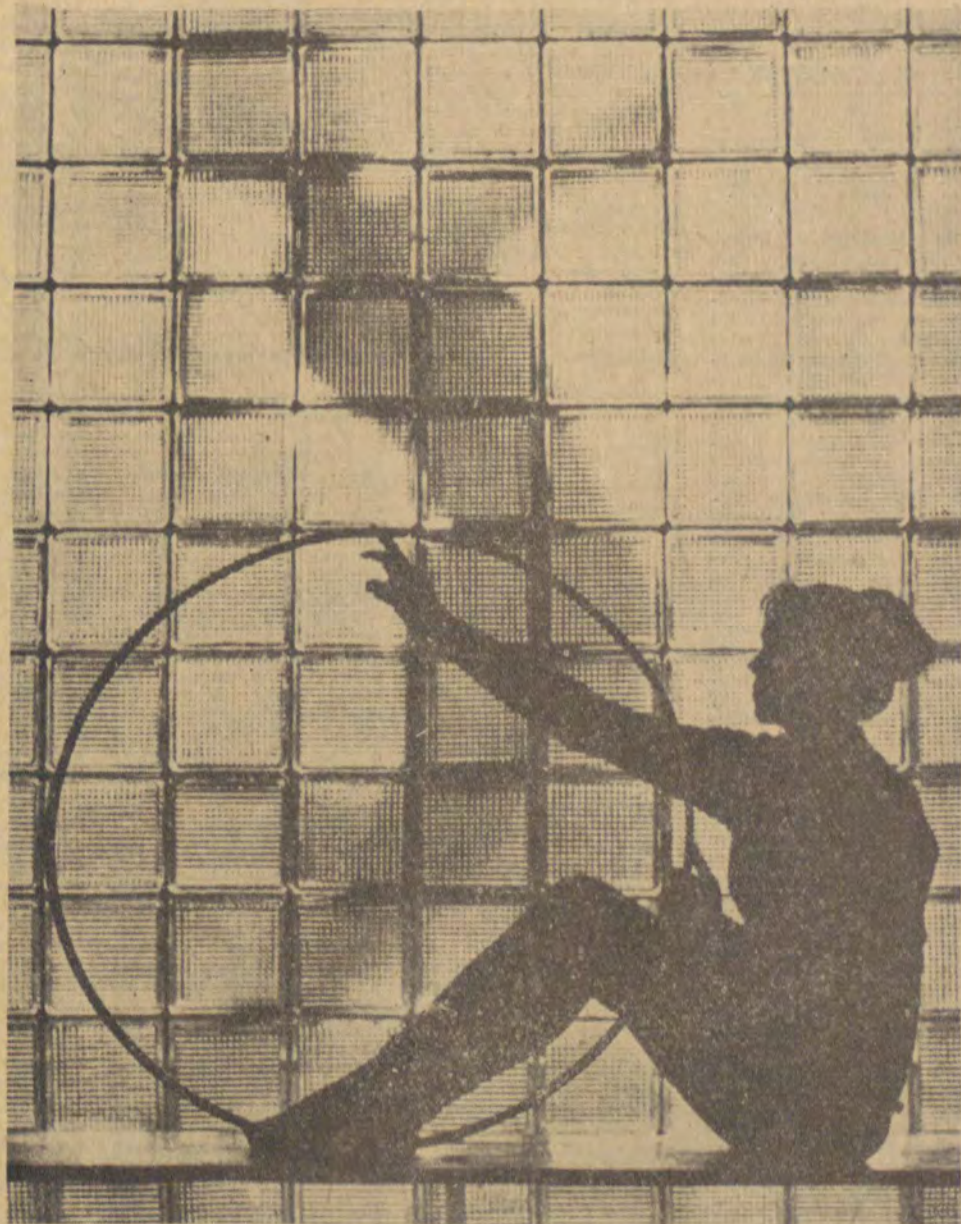
STANISŁAW CZERNIK: Dłaczego zabrakło udziału młodzieży poetyckiej na festiwalu w Łodzi nie wiem i nawet przyznam się, nie próbuję sobie tego wyjaśnić.

ODGŁOSY: A jakie byłyby Pana propozycje pod adresem kolejnego festiwalu, aby podnieść jego rangę?

STANISŁAW CZERNIK: Wspomniałem już o sprawie zainteresowania poezją robotników. W środowiskach fabrycznych, nie przygotowanych do takiej akcji, może to oczywiście wzbudzić pewne zastrzeżenia i wątpliwości. Ale nawiązując do tego, co powiedział Przyboś, ja bym taką inicjatywę popierał i proponowałbym organizatorom przyszłych festiwali rozważenie tej koncepcji.

Co się tyczy referatów, to należałoby postawić zagadnienie centralne dla współczesnej poezji polskiej może tak, jak zarysował to w swej wypowiedzi dla „Odgłosów” Zbigniew Bienkowski.

Jest też okazja, aby wyraźniej postawić problem oddziaływania twórczości Nowida na współczesne prądy poetyckie. Właśnie ukazały się dwa pierwsze tomy jego dzieł zebranych.



Fot. K. Dudczenko



JEWGIENIJ  
JEWTUSZENKO

O współczesnej  
poezji

Zdziwił mnie mocno ten mi-  
styyczny charakter rozmowy. Po-  
tem objaśnił, że znajdują się w  
nich listy do krewnych, zgro-  
madzone w ziemie. Pisali je nie  
szkafcy wsi w czasie długiej  
polarnej nocy, czekając nadej-  
ścia pierwszego statku.  
— Za chwile powinni się sta  
wła. Jest to najpiękniejszy sta-  
tek na ziemi.  
Czekaliśmy długo. Wreszcie  
w mgłę rozległ się ochryply  
głos nadpływającego statku i  
oto ujrzelśmy maleńki, obszar-  
pany, rozbity kuterek, który  
dosłownie gramolił się przez  
kry. To był pierwszy kuter



W październiku 1966 r.  
odbyło się w Tbilisi międ-  
zynarodowe spotkanie  
poetów z pięciu konty-  
nentów. Było to spotka-  
nie poświęcone 800-setnej  
rocznicy urodzin wielkie-  
go gruzińskiego poety i  
myśliciela — SZOTY RU  
STAWELI. Na temat  
współczesnej poezji za-  
bierali głos wybitni  
przedstawiciele krajów  
Europy, Ameryki, Azji,  
Australii i Afryki.  
Poniżej drukujemy wy-  
owiedź czolowego poety  
radzieckiego młodego po-  
kolonia — Jewgienija  
Jewtuszenki.

Dwa lata temu zostaliśmy  
z Jurkiem Kazakowem  
zrzućni na spadochronach  
do maleńkiej rybackiej  
wioski na Północy.  
Była wczesna wiosna. Pecz-  
ra dopiero co ruszyła i plyn-  
ała, ogromne kry, zdierały się  
ze sobą, a na tych krach sie-  
działy gronostrajcy i wilki za-  
wodzące dzieleczkami głosami.  
Wilki, gdy jest źie, piszcza  
dzieleczkami głosami.  
Na przystani siedział stróż sta-  
ruszek, rozgrzewając się tyka-  
mi wódki z flaszki stojącej u  
jego stóp. Siedział na jakichś  
workach zwalonych obok nad-  
brzeża. Zapytałem:  
— Czego pilnujesz? Co jest  
w tych workach?  
Odpowiedział:  
— Dusze ludzkie.

łączył, który szedł poprzez  
lody, na długo przedtem nim za-  
wią się prawdziwe statki i dla  
rybaków z tej wioski jego  
chrapliwy wrzaw się głośnie, był  
najpiękniejszą muzyką. Wybie-  
gali, machali rękami, wielu pla-  
kało, dlatego, że ten lechutki  
kuter łączności wiozł listy do  
bliskich. Był dla nich najpięk-  
niejszy. Rozumieli jego posła-  
nictwo — łączenie ludzi roz-  
dzielonych przez lody.  
I wtedy pomyślałem o poe-  
zji, pomyślałem, że rola poety  
winna być takim właśnie kute-  
rem łączności pomiędzy ludź-  
mi, łącząc ludzi rozdzielonych  
przez lód. Mówię o tym w sen-  
sie politycznym i nie tylko po-  
litycznym, a po prostu ludz-  
kim. Dziś nie sposób żyć jedy-  
nie sprawami własnego kraju,  
chociaż to niemożliwe, aby  
bez zrozumienia spraw swego  
kraju, cierpieć za losy innych  
narodów. Dziś wszystkie naró-  
dy z powodu wiszacej nad nimi  
groźby wojny, podjmując tę  
groźbę, cierpią w związku z  
tym, iż są rozdzieleni przez lody,  
zdają sobie sprawę, że pro-  
dziwa poezja jest niemożliwa  
bez ogólnego myślenia, bez od-  
czucia losów całego świata.

Eliard powiedział: „Od hory-  
zontu jednego człowieka do ho-  
ryzontu wszystkich ludzi”.  
Nasz kraj rozpoczął życie w  
momencie, gdy zaatakowało go  
czarna siła mocarstw. Później  
niektóre siły z wewnątrz pod-  
trzymywały tę izolację. Ale w  
rzeczywistości pokonałszy nie  
jedno, tak jak kiedyś pokona-  
liśmy czarna siła mocarstw.  
Być kutelem łączności, może  
to w chwilach oczekiwania się  
donkiszoteria. Istnieje przecież  
taki rozpowszechniony punkt  
widzenia, że nazwanie Kogós

Łodzi i województwa) tyl-  
ko 200 osób!  
Przez kilka poprzednich  
lat dzielnicowy referat  
kultury na Widzewie orga-  
nizował podobny kon-  
kurs, pod tą samą bodaj,  
lub podobną nazwą. U-  
dział uczestników tam-  
tych konkursów był lic-  
niejszy, bo w ostatnim  
roku objął już 300 osób,  
choć to tylko jedna dziel-  
nica. Poza tym tamten  
konkurs się przeżywało.  
Przeżywało go uczestnicy,  
przeżywała organizatorka  
imprezy, ówczesny kie-  
rownik referatu kultury,  
p. Zdzisława Czerwińska,  
zapalona popularyzatorka  
teatru. W tym roku  
akcja widzeńska wtopi-  
ła się w ogólnolódzka.  
Międzyzakładowy Dom  
Kultury im. Waryńskiego  
na Widzewie, którego  
kierownikiem jest ta sa-  
ma p. Czerwińska, dał 64  
uczestników do tegorocz-  
nego konkursu. Czyli po-  
łowe. Piszę o tym, by  
wykazać, że osobiste za-  
angażowanie organizato-  
rów ma w pewnym sen-  
sie znaczenie decydujące  
o powodzeniu imprezy.

A stąd wniosek prosty,  
że za mało było zaangażo-  
wania. Dzielnicowe re-  
feraty kultury, których  
jest w Łodzi pięć, dla po-  
wodzenia konkursu wiele  
nie zrobiły. Niewiele in-  
icjatywy wykazał Zwią-  
zek Teatrów Amator-  
skich, tak samo jak zwią-  
ki zawodowe, zajęte w  
minionym roku swym  
festiwalem kulturalnym,  
w minimalnym stopniu  
włączyły się wojewódz-  
two, troszcząc się przede  
wszystkim o rezultaty  
swojego konkursu. „Wieś  
bliżej teatru”. Na placu  
boju pozostał Miejski O-  
środek Instrukcyjno-Meto-  
dyczny teoretycznie za-  
szczycony funkcją koor-

dynatora, praktycznie  
główny i niemal jedyny  
organizator przy zyczli-  
wej inercji pozostałych  
zainteresowanych. Na pla-  
cu boju pozostała mło-  
dzież, która, jak się oka-  
zało, najwięcej wie o  
teatrze. W pierwszych  
eliminacjach stanowią 42  
procent uczestników, w  
trzecich już 100.

Prawdę mówiąc miałam  
zamiar napisać felieton  
pozytywny. Bo inicjaty-  
wa cenna, pozytywna, bo  
wiele włożonego trudu i  
wysiłku. Ale mi te pozy-  
tywne słabo wyszły, bo  
efekt w porównaniu z  
wysiłkiem nieproporcjo-  
nalny. Konkurs „Co jest  
o teatrze łódzkiem?” po-  
myślany jest jako impre-  
za coroczna, trwająca non  
stop od jednego do nastę-  
pnego Międzynarodowego  
Dnia Teatru. Zresztą tyl-  
ko tak pomyślany może  
przynieść trwałe rezulta-  
ty. Ale jeżeli tak, to  
trzeba pomyśleć o ener-  
giczniejszej organizacji, o  
równomiernym rozłożeniu  
pracy i odpowiedzialności  
na wszystkich powoła-  
nych do krzewienia kul-  
tury teatralnej.

MOIM przy okazji eli-  
minacji środowiskowych  
ogłosił ankietę zawierają-  
cą dwa pytania: jaką  
sztukę sezonu uważasz za  
najlepszą oraz: co sądzisz  
o tym konkursie? Spo-  
śród wielu bardziej i  
mniej interesujących wy-  
powiedzi, wybrałam frag-  
ment jednej: „Sądzę, że  
to dobry pomysł, z tym  
konkurem, bo on zbliża  
do teatru młodzież, która  
po obejrzeniu sztuki nie  
będzie się go bąca jak  
ognia i nie będzie go uni-  
kać. Bo jak zasmakuje  
chodzenia do teatru, to  
nie będzie go omijać”.  
Właśnie tylko o to cho-  
dzi.

Don Kichotem jest obelga. A  
wczoraj rozmawiałem ze znako-  
mitym poetą hiszpańskim. Pa-  
checo o wielkości donkiszoterii  
i wypiliśmy za Don Kichotów  
na całym świecie. I dziś, kie-  
dy zebrało się tu tyłu Don Ki-  
chotów, myślałem cały czas o  
tej szlachetnej postaci, która  
żyje wewnątrz nas i winna żyć  
także u poetów.

Jeden z moich przyjaciół-poe-  
tów napisał pięknie i złośliwie  
„Oczywiście, łatwo jest pokochać  
ludzką, lecz spróbuj pokochać  
swego sąsiada. To o  
wiele trudniejsze”. Osobiscie  
nie lubię górnolotnych słów o  
miłości do całego człowieczeń-  
stwa. Miłość do całej ludzkości  
rozpoczyna się właśnie od mi-  
łości do sąsiada lub może z nie-  
nawości do niego, jeśli sąsiad  
jest draniem, gdyż nienawisć  
— to również forma miłości.

Zgadzałem się z Enzensberge-  
rem, że nie należy poetom nar-  
zucać roli. Również roli kutra  
łączności. Ja także nie zno-  
szę kiedy mi coś narzucają.  
Dla poezji Majakowskiego  
właściwa jest publicz-  
ność. Ale siedzi tu wśród nas,  
na przykład, gruziński poeta  
Otar Czidze. On w swoich  
wierszach również walczy za  
ziemię na swój sposób, posiada  
własną barykadę — barykadę  
walki o piękno.

Lecz bywają momenty w ży-  
ciu, kiedy nikt nie popycha  
człowieka: idź, buduj baryka-  
dę, a kamienie same wyrzuca-  
ją się z bruku i wrastają w  
twa dłoń i wtedy wlatują na  
barykadę, obalasz latarnie pod  
nogą armii i kroczącej prze-  
ciwko ludzkości. I dlatego, bar-  
dzo lubię słowo: barykada.

Nie boję się uprzedmiotow-  
ienia ani nawet superuprzed-  
miotowienia. Natomiast istnieje  
niebezpieczeństwo standaryzacji,  
niebezpieczeństwo standary-  
zowanych słów. Słowa, zdarte  
od częstego i niewybrednego  
używania, przestają działać,  
przekształcają się we własne  
przeciwieństwo, chociaż zosta-  
ły w nie włożone wielkie idee.  
Często ludzie przestają intere-  
sować się tymi ideami, ponie-  
waż stały się określeniami stan-  
dardowymi. Pewien mój znajo-  
my, przewodniczący syberyjskiego  
kolchozu, zwrócił już na  
to uwagę, toteż wywiesił w  
swym biurze zamiast standary-  
zowanych sloganów, takie na  
przykład powiedzonko ludowe:  
„Nie ten twym przyjacielem,  
kto miódem smaruje, lecz ten  
kto mówi prawdę”.

Jednakże strach przed stan-  
dardem, popycha często w dru-  
gą stronę: dążenie do wyra-  
żania się w sposób oryginalny  
za wszelką cenę, a oryginal-  
ność, z zasady jest wynikiem  
kompleksu niższości.  
Myślę, że nasza walka winna  
pójść w dwu kierunkach: wal-  
ki ze standardem, ze spospo-  
łowianiem najwyższych warto-  
ści ludzkich, walki zakładającej  
poszukiwanie nowej formy wy-  
powiedzi, a jednocześnie walki  
ze zbrodnią formalizmu, gdyż  
formalizm może osiągnąć stopień  
moralnego przestępstwa.

Przełożył:  
EUGENIUSZ IWANICKI

HENRYK ANDERS

# DZIEŁO KAROLA HILLERA



K. Hiller. Kompozycja.

Pierwszą z serii zapowiedzianych wy-  
staw czasowych, Muzeum Sztuki spłaca  
społeczeństwu dług zaciągnięty przed wie-  
lu laty. Wystawy tej bowiem środowi-  
sko miejscowe oraz krajowe koła arty-  
styczne oczekiwały z niecierpliwością od  
roku 1946, kiedy to Karolowi Hillerowi  
przynano posmiertnie nagrodę plastycz-  
na miasta Łodzi. Od czasu do czasu  
eksponowano co prawda pojedyncze  
obrazy zapożnionych malarza, jednego z  
polskich prekursorów sztuki abstrakcyj-  
nej, ale reszta jego dorobku tonęła w  
niepamięci. W Wielkiej Encyklopedii  
Powszechnej wspomniano o nim tylko  
mimoходом, jako o członku awangar-  
dowej grupy „a. r.”, co jest oczywiście  
dezinformacja. Hiller w latach dwudzie-  
sześcioletniej działalności artystycznej  
zabawiona wyrażonego oblicza ideowo-  
artystycznego — potem był jednym z za-  
łożycieli postępowego Związku Zawo-  
dowych Polskich Artystów Plastyków, a w  
latach 1933—1936 był redaktorem „Formy”,  
ale do zespołu „a. r.” nie należał,  
reprezentował inną frakcję obozu  
„nowoczesnych” i Strzeżnińskiemu jaw-  
nie się przeciwstawiał. Z tej racji nie-  
który krytycy wynosili go ponad twór-  
cę unizmu, inni raczej nie doceniali.  
Wszystko to jednak zasadało się na do-  
wiedzi. Dopiero obecna wystawa — choć  
wiele prac przypadło a wielu nie udało  
się odnaleźć — przywraca właściwą ran-  
gę w dziełach sztuki polskiej lódzkie-  
mu artyście.

Twórczość Hillera jest bogata i wielo-  
stronna, ale dość niejednolita stylisto-  
wo i jakościowo nierówna. Niewiele da-  
ją już teraz powidzieć o jego malarstwie  
sienicznym i projektach scenograficznych,  
ponieważ brakuje wystarczającej doku-  
mentacji. Okładki książek, które w  
swoim czasie zwracały, być może, wy-  
jątkową logiką układu, zwięzłą i przekony-  
wającą symboliką, wydają się dzisiaj  
banalne i szablonowe, artystycznie ra-  
czej nieciekawe. Do tego wrażenia przy-  
czynia się zapewne ówczesna niewy-  
soka technika wykonania, wiadomo  
zresztą, że artysta traktował je jako  
margines sztuki — co bynajmniej nie  
stanowi usprawiedliwienia. Wyższą  
się tu korzystnie przemysłowy pod ka-  
żdym względem projekt okładki do  
książki Ary Sternfelda. Sam temat lo-  
tów kosmicznych musiał widocznie pa-  
sjonować malarza, który, nim wstąpił  
na Akademię Sztuk Pięknych w Kijo-  
wie, studiował chemię w Darmstadtzie  
oraz architekturę w Warszawie i Mos-  
kwie. I zawsze miał skłonność do rygo-  
rowej myśli naukowej.

Nie wybiła się także ponad przeciętny  
poziom grafik tego typu większość il-  
stracji zdobniczych tomik poezji „Sadze  
i złoto” oraz monografia J. Litwina po-  
święconą dawnym fabrykom. Tendencja  
dekoracyjna kięci się tu na ogół z dą-  
żnością do wiernego odtworzenia rekwi-  
zytów, tradycyjny raczej rysunek z za-  
kamsami na stylizację wedle dogmatycz-  
nej formuły postkubistów. Warto jed-  
nak podkreślić prostotę i czytelność  
kompozycji umiejętnie rytmizowanych  
i ułożonych poprzez właściwe wywa-  
żenie proporcji.

Do najwyższej klasy w swojej dzied-  
zynie należą za to ekslibrisy, zwłaszcza  
te, w których artysta, łącząc się jedy-  
nie z wymaganiami formy i logiką kon-  
strukcji, stosował celowo minimalną  
ilość komponentów. Uderza śmiałość roz-  
wiązań, porzucenie stereotypowych,  
ugrzeszczonych koncepcji. Hiller wycho-  
dził poza schematy ram, nie unika kom-  
pozycji otwartych i dynamicznych, za-  
chowując przy tym zawsze zwartost  
i równowagę układów oraz doskonałe  
zagospodarowanie powierzchni. Upras-  
zczając kształty przedmiotów, wplatając  
literaturę w elementy przedstawienio-  
we używa rozległej skali środków for-  
malnych, wprowadza też liczne i zróżni-  
cowane symbole ikoniczne, mające użmy  
słowie krąg zainteresowań i osobowości  
złecionodawcy. Umie być wstrzemię-  
liwy i lapidarny, a jeśli trzeba — czuły  
i liryczny. Już w najwcześniejszej fazie  
tej twórczości widać znamienne echa  
puryzmu i rosyjskiego konstrukttywizmu,  
stanowiące jakby odskocznice do póź-  
niejszych poszukiwań w malarstwie.

Równie wysoko można ocenić mate-  
rysunek z teki pochodzącej z lat  
1931—1933. Niektóre z nich to zwykłe  
notatki, jakies zarysy pomysłów, studia  
układów formalnych, gry kształtów, dy-  
namicznej zabudowy przestrzeni, kon-  
trastów walorowych. Inne to po prostu  
fragmentaryczne lub pełne szkice póź-  
niejszych realizacji. Niektóre wreszcie  
to skończone samodzielne kompozycje,  
bezspreznie miniatury arcydzieła.

Na malarstwie Hillera zawazyły nie-  
wzaplne doświadczenia z lat studen-  
ckich oraz kontakty z konstrukttywist-  
mi, których musiał poznać w Związku  
Radzieckim. Zamieszczony na wystawie  
„Anioł” przywołuje na myśl krąg Me-  
hofferera lub stylizatorów rosyjskich z  
okresu przed pierwszą wojną. Z kolei

temperowy „Tkacz” z roku 1922 przy-  
pomina nie tyle może ikony, ile jakieś  
bizantyjskie iluminacje. Ogió naucezycie-  
lem Hillera w Akademii był Michał  
Hołczuk, wychowanek krakowskiej ASP  
i przyjaciel grona malarzy polskich,  
uczniów Mehofferera, którym w swoim  
czasie Makowski zarzucił przesadne  
uwielbienie sztuki Bizancjum i prymy-  
tywów. Ci właśnie malarze zawiązali w  
latach dwudziestych stowarzyszenie  
„Rytm” i tzw. „styl Rytmu” — dą-  
żenie do ujęć syntetycznych, do równo-  
miernego wypełniania malowideł, do  
uproszczeń i stylizacji kształtów — był  
wówczas w Polsce dość modny. Pewne  
cechy tego stylu widać także we wczes-  
nych pracach Hillera, zarówno w grafice  
jak w malarstwie. Widać je nawet  
w niektórych pejzażach, choć w innych  
zdradza zainteresowanie poimpresjoni-  
styczną analizą koloru. Syntetyzujące pe-  
żaje malował zresztą również później,  
rzekomo dla wytębnienia — nazywał  
je „wypoczywkowymi” — ale najpew-  
niej ze względów zarobkowych.

Wpływy konstrukttywistyczne, nikt je-  
szcze we wczesnej grafice a wyraźniejsze  
w ekslibrisach, ujawniają się dobitniej  
w drugim, dojrzałym okresie twórczości,  
kiedy Hiller zaczyna szukać podnień w  
świecie zmechanizowanych konstrukcji,  
instalacji fabrycznych, różnego rodzaju  
instrumentów i aparatów. Okres ten za-  
początkowują dwie kompozycje z roku  
1928 — zgeometryzowane i na wpol ab-  
strakcyjne, nawiązujące w pewnym stop-  
niu do maszynizmu Legera. Na upartego  
zresztą, w wielu późniejszych obrazach  
łodzińska można by znaleźć zastana-  
wiająca podobieństwa z pracami współ-  
czesnych mu malarzy francuskich, ro-  
syjskich, belgijskich i holenderskich o  
pokrewnej orientacji, jak Kandinsky,  
Gleizes, Walmier, Andrejko i inni. Nie  
słuszny jednak byłby zarzut nasławo-  
wactwa, chodzi właśnie o powinowact-  
wo, a zbliżony typ myślenia, przy czym  
są też widoczne typowe różnice zało-  
żeń.

Puryści i konstruktwiści zmierzali  
arbitralnie do „widoczenia stosunków  
czyste budowy”, a Hiller cele tak ogra-  
niczone potępiał jako narcyzm. Nie za-  
dawałaby go formy geometryczne jako  
wyłącznie sugestii stosunków logicz-  
nych, domagał się, by w malarstwie nie  
pomijać emocji. Dzieło sztuki miało być  
bowiem „świadomym dokumentem cha-  
rakteru epoki”. Odechodził wyprawdzie  
od malarstwa przedmiotowego, bo współ-  
czesność wymagała „ujawnienia treści  
psychicznych a nie rzeczowych”, ale w  
formach abstrakcyjnych chciał widzieć  
równocześnie „znaki ideograficzne pełne  
własnego wyrazu i znaczenia”. Nie po-  
przeczał przeto na czysto mózgowych  
spekulacjach, szukał impulsów boży-  
tych i złożonych, szukał ekwiwalentów  
dla uczuć i znajdował je w świecie  
form biologicznych. Na tej drodze zbliz-  
zył się do ekspresjonizmu i nadrealiz-  
mu, ale i to mu nie wystarczyło. W  
rezultacie doszedł samodzielnie i bardzo  
wczesnie do abstrakcji niegeometrycz-  
nej. W tej dziedzinie był istotnie pre-  
kursorem. Trzeba zresztą przyznać, że  
takie prace jak „Deszcz” czy wczesnie-  
sza „Kompozycja abstrakcyjna” z roku  
1932, odznaczające się szlachetnym uro-  
mianiem faktury i subtelnością roz-  
grywek kolorystycznych, należą do jego  
najlepszych utworów.

Hiller był i czuł się łodzińskim. Po-  
chodził z rodziny tkaczy od dawna w  
Łodzi zasiedziały i od dawna spolszczo-  
nej. W Łodzi się urodził i wychował,  
do Łodzi powrócił na stałe po latach  
studiów i wojennej tułaczki, tutaj tworzył  
i pracował społecznie, tutaj wresz-  
cie, jako znany działacz demokratycz-  
nej lewicy, zginał z rak okupanta. Był  
też Hiller z pochodzenia i świadomego  
wyboru artysta klasy robotniczej. Był  
nim nie tylko wówczas, gdy przedsta-  
wiał czytelnie nędzę, wzywał i trud-  
rowiał w kompozycjach abstrakcyj-  
nych szukał przede wszystkim środków  
plastycznych dla wyrażenia piękna pra-  
cy, dynamiki współczesnego życia, wal-  
ki i gniewu ludu. Szukał głębokich me-  
tafizycznych treści i to nadaje jego  
dziełu wartość nieprzemijającą.

## KSIĄŻKI NADESLANE

Wojciech Zukrowski —  
SZCZĘŚCIARZ, PIW, cena  
zł. 12.—  
Stanisław Pietak — POEZJE  
PIERWSZE, LSW, cena zł.  
16.—  
Krzyszyna Szlaga — KORZE-  
NIAMI W ZIEMI, LSW, ce-  
na zł. 10.—



# Kto, co, kiedy?

relacje  
niedyskrecje

## RAVEL W WYKONANIU RAVELA

„Usłyszycie „Sonatine” Maurice Ravela w wykonaniu kompozytora — czytamy w radzieckim miesięczniku „Krugozor” (nr 3 z bież. roku). Jak usłyszycie? Bardzo proste. Czasopismo zawiera 8 płyt. Jedną z nich właśnie jest z nagraniem Ravela. „Krugozor” przypomniała, że Maurice Ravel, wielki kompozytor francuski, zmarł w 1937 r., interesował się żywo odkrywcami i wynalazkami naszego wieku. Często można go było zobaczyć za kierownicą samochodu,



leży zamieszczanie w każdym numerze choć jednej piosenki polskiej. W numerze 3 cała strona płyty nagrana jest przez „Filipinki” („Filipinki — to my”, „Ballada o tym, kto jest daleko” i „Batumi”).

## MARC CHAGALL W METROPOLITAN OPERA

Marc Chagall, eks-presjonista, jeden z prekursorów surrealizmu znów zwrócił na siebie uwagę dekoracjami i kostiumami do opery Mozarta „Czarodziejski flet” wystawianej w nowojorskiej Metropolitan Opera.

Chagall — pisze paryski dziennik „Le Figaro” — kilkakrotnie pracował już dla baletu projektując dekoracje i kostiumy, ale zawsze marzył o pracy dla opery, zwłaszcza, że jak twierdzi słynny malarz, muzyka i śpiew w operze są jakby trzecim wymiarem, który stwarza głębię i uzupełnia wizualne wrażenia i przeżycia.

Przedstawiciel tygodnika „l'Humanité Diman-

che” odwiedził Chagalla w jego pracowni w Reims, gdzie artysta pracuje nad witrażami. W trakcie rozmowy dziennikarz spytał Chagalla co jest bezpośrednio inspirowane jego sztuką witrażową? — Dostojewski. Szekspir, Biblia, Cervantes — odpowiedział malarz. „A sprawa pokoju?” — zapytał dziennikarz. „Niech pan się przyjrzy — odpowiadając artysta — mojemu witrażowi na temat pokoju jaki zrobiłem na zamówienie ONZ. Pokój — nie potrafię tego ina-



Modigliani. Nie bez wpływu na twórczość Chagalla była jego przyjaźń z Apollinaire'em. Poeta przedstawił Chagalla jako utalentowanego artystę jednemu ze swych znajomych — sprzedawcy obrazów. W 1914 roku Marc Chagall wystawił po raz pierwszy w Paryżu. Wraca następnie do Rosji, gdzie po wybuchu wojny zostaje zmobilizowany do wojska. Po zwycięskiej Rewolucji Październikowej Chagall zostaje mianowany komisarzem do spraw sztuki w Witebsku. W 1923 r. widzimy go znów we Francji, gdzie sporządza ilustracje m. in. do „Martwych dusz” Gogola i bajek La Fontaine'a, ilustruje też Biblię. W tym to czasie ma wystawę malarską w Nowym Jorku. W 1935 r. odbywa podróż do Polski. La ta 1936—1939 zaznacza



Fotografia, której autorem jest Alfred Geschmidt, pochodzi ze zbioru zatytułowanego „Photographis 66, Międzynarodowy rocznik fotografii reklamowej”. Książkę wydało szwajcarskie wydawnictwo „The Graphis Press”. Fotografia przedstawia twarz kobiety palącej papierosa. Dym ściele się gęsto wokół oczu i ust, zmieniając ludzką twarz w upiorny wizerunek. Fotografia ta została wykonana dla broszury traktującej o szkodliwości palenia papierosów.

## POLONICA

PO POLSKIM TYGODNIU  
W WIEDNIU

Ostatni numer wychodzącego w Wiedniu ilustrowanego pisma „POLSKA w słowie i ilustracji” (Polen in Wort und Bild) stoi pod znakiem właśnie co od bywającego się Tygodnia Polskiego w stolicy Austrii. Numer przynosi wiele ciekawych materiałów m. in. wypowiedzi burmistrza Wiednia — Bruno Marka, polskiego ambasadora Jerzego Roszaka, przewodniczącego Towarzystwa Austriacko-Polskiego — prof. dr A. Leskowskiego na temat „Polskich Dni”, wywiad z sekretarzem Ambasady Polskiej w Wiedniu Al. Dziensikiem na temat kontaktów kultu ralnych między Polską a Austrią, recenzję z granej w Theater in der Josefstadt sztuki Sławomira Mrożka „Tango”, artykuły o Warszawskim Towarzystwie Przyjaciół Sztuki, polskim filmie, polskiej ce ramicie a także wspomnienie poświęcone Zbyszcowi Cybulskiemu. Wspomniany numer uważa należy za bardzo ciekawy. Jest on przy kładem żywego zainteresowania dla Polski i jej kultury, z jakim często można spotkać się w Austrii, o czym A. Dziensik powiedział w wzmiankowanym wywiadzie: — „Dla rozwoju współpracy i nieje w Austrii atmosfera zrozumienia, zaangażowania i dobrej woli”.

## NAGRODA FRANCUSKICH KSIĘGARZY

Inicjatywa może godna przemyslenia — także i u nas! 2.000 księgarzy francuskich przyznaje co roku nagrodę jednej z powieści na podstawie wyników sprzedaży. W roku obecnym otrzymała tę nagrodę, znana i polskim czytelnikom autorka „Rodziny Sanchez”, Catherine Paysan. Poetka, kilkakrotnie nagrodzona, od 6 lat zajmuje się prozą. Jej pierwsza powieść, „Nos autres les Sanchez”, otrzymała odznaczenie francuskiego Związku Literatów. Książki Catherine Paysan są już przełożone na liczne języki.

Co to jest „Chandelier”? W niektórych okolicach Francji, obdarza się dzieci 2 lutego kwiatami, jakby pragnąc przyspieszyć nadejście wiosny. W nowej powieści Catherine Paysan owo święto staje się metaforą walki o szczęście, prowadzonej na przekór losowi, z dramatyczną determinacją. Książka, pisana poetyckim językiem, zdobyła uznanie krytyki, a szczególnie wybitnego jej przedstawiciela, Roberta Sabatie ra.

## POLONICA

a w latach pierwszej wojny światowej ochotnik Ravel był kierowcą ciężarówki w armii frontowej. Ravel lubił bardzo kino i starał się uczeszczać na każdy nowy program. Podczas występów w Ameryce poświęcał wolny czas m. in. na słuchanie muzyki jazzowej. Lubił technikę, industrializację, a rytm fabrycznych maszyn nieraz inspirował jego twórczość.

Nie możemy się postrzymać od słów podziwu dla tego rodzaju czasopisma jakim jest „Krugozor”. Tekst tego dwudziestostronicowego miesięcznika, piękne rysunki i fotografie, zazwyczaj kolorowe, uzupełniają dzwiękowa część pisma, ta zaś dopełnia z kolei część tekstową i ilustracyjną. Reportaże krajowe i zagraniczne, wiersze wybitnych poetów radzieckich, czasem recytowane przez nich samych, muzyka poważna, fragmenty lub całe skecze estradowe, piosenki, muzyka jazzowa — wszystko to znajdujemy w tym luksusowo wydawanym (w nakładzie 250 tys.) miesięczniku, którego cena wynosi mniej więcej tyle, co pudełko trochę lepszych papierosów. Zdaje się, że już do tradycji „Krugozora” na-



Marc Chagall

czej sformułować, ale jeśli ludzie potrafią odczuć moje obrazy to pokój jest całkowicie w ich sercach”. „l'Humanité Dimanche” przypomina kilka dat z życia artysty. Marc Chagall urodził się 7 lipca 1887 roku w Witebsku na Białorusi, w rodzinie pochodzenia żydowskiego. W roku 1907 dekorator, słynny potem na cały świat, rosyjskiego baletu Diagilewa, udziela młodemu Chagallowi porad w swym atelier w Petersburgu. Dzięki pomocy finansowej jednego z przyjaciół Marc Chagall, który od wczesnej młodości interesuje się malarstwem, wyjeżdża na studia do Paryża. Zapoznaje się tam bliżej m. in. z

tem Albertem przejmując w spadku wydawnictwo. Charles Flammarion kieruje od tej pory domem wydawniczym starając się o przyłączenie wybitnych autorów francuskich. Zapożycuje serię „Biblioteki naukowej” i wydawnictw medycznych.

## ZMARŁ WYBITNY WYDAWCA PARYSKI

Zmarł Charles Flammarion, wybitny wydawca paryski. Urodził się w 1884 r. jako syn Ernesta Flammariona, założyciela słynnego domu wydawniczego. W 1919 r. Charles wraz ze swym bratem

Albertem przejmując w spadku wydawnictwo. Charles Flammarion kieruje od tej pory domem wydawniczym starając się o przyłączenie wybitnych autorów francuskich. Zapożycuje serię „Biblioteki naukowej” i wydawnictw medycznych.

## SPEKTAKLE tygodnia

TEATR	
<b>NOWY</b>	„Kowal, pieniądze i gwiazdy”, 2 spektakle 900 — 75%
	„Sonata Belzebuba”, 1 spektakl 400 — 60%
	„Śluby panieńskie”, 1 spektakl 700 — 100%
	„Panna młoda”, 1 spektakl 400 — 60%
<b>NOWY MAŁA SALA</b>	„Śluby panieńskie”, 2 spektakle 400 — 100%
	„Szkłana menażeria”, 1 spektakl 200 — 100%
	„Kartoteka” 1 spektakl 200 — 100%
<b>POWSZECHNY</b>	„My fair lady”, 2 spektakle 1320 — 100%
	„Derby w pałacu”, 1 spektakl 660 — 100%
	„Mocne uderzenie” 1 spektakl 600 — 96%
<b>JARACZA (w lokalu ROZMAITOSCI)</b>	„Rozmowa”, 1 spektakl 633 — 100%
	„O krasnoludkach i sierotce Marysi”, 4 spektakle 2532 — 100%
<b>7.15</b>	„Klamczucha”, 3 spektakle 1263 — 100%
	„Dobra skrojony frak”, 2 spektakle 842 — 100%
<b>TEATR WIELKI OPERA</b>	„Straszny dwór” 3 spektakle 3828 — 100%
	„Halka”, 2 spektakle 2532 — 100%
	„Carmen” 1 spektakl 1276 — 100%
<b>OPERETKA</b>	„Fantastyczny rejs”, 6 spektakli 5853 — 96%

## Notatki na MARGINESIE

W Domu Chłopa w Warszawie — wystawa leżycyckiej sztuki ludowej. Droga tej wystawy wskazuje na energię jej organizatorów (w dniu otwarcia o sztuce ludowej Ziemi Leżycyckiej mówi Jadwiga Grodzka, gwędź — Ignacy Kamiński, legendy leżycyckie prowadzi Wojciech Siemion) i na walory artystyczne eksponatów. Jeśli się wykreśli krzywa, za czynając z Leżycy, przez Łódź, następnie Dom Chłopa przez Warszawę — to w perspektywach chyba Paryż, Londyn, Moskwa, Nowy Jork. Czego, oczywiście, zainteresowanym i sympatykom ludowych twórców z Leżycy (jestem w ich Hezbie) szczerze życzymy.

A w „Honoracie” słyszałem na własne uszy, jak pewien znany emokier ra-

dził się pewnego znanego snobokonesera czy warto zainteresować w rzeźbę starego, pocziwego, świętego Kamińskiego. Snobokoneser doradził „jeszcze poczekać: zobaczy się, czy wystawę wysła na Zachód czy na Wschód...”

Wśród artystów repre zentowanych na Wy stawie Toruńskiej grupy Zero-61 najbardziej indywidualnością jest na pewno Jerzy Wardak. Podziwiam jego prace: są mistrzowskie pod względem technicznym, a ich fabularny, narracyjny surrealizm to kierunek modny, podobający się w dzion i jeszcze w naszej fotografice niezbanakzowan-

Oczywiście, tak zwanym znawcom (jak podstuchalem) narzuca się nieuchronnie pytanie, czy jest to fotografia, czy też już ścisła grafika? Rozstrzygnięcie tej scholastycznej kwestii zostawmy jednak uczonej w piśmie, a sami cieszymy nasze oczy i naszą wyobraźnię obrazami, które — choć czarnobiałe — natychmiast mi się skolarzyły i z Ociepka i z Celnikiem Rousseau.

Wybaczyć, czytelnicy, zamierzam do plotek. Ekstordzianin, pan Jerzy Kosinski (ostawiona antypolska powieść „Malowany Ptak”) nadal interesuje się swą ekscyjują. Ostatnio pewien Belg opowiedział mi, że pan K. zwiędzławszy się o jego wyjeździe do Polski, uraczył go porcją błyskotliwych uwag i informacji o naszym kraju. Pomnie ocenę poziomu kulturalnego społeczeństwa, którego — że tak powiem — pierś pan K. swego czasu ssal z podziwu godną energią. Pomnie i implikacje polityczne za warte w uwagach zarządczego młodziana. Natomiast pragnę się podzielić z czytelnikami prawdziwą uciechą. Jakiej? Znalazłem słuchające relacji o rozważaniach pana K. na temat: Cytryny — a sprawa polska.

Otóż pan Kosinski — (w przeszłości, jak pamiętam, supergoliwie pijący herbatę bez cytryny i tylko z samowara) — teraz ostrzegł owego Belga, że, o zgrozo, Polska to taki kraj, gdzie tych kwaśnych owoców nie uświadczysz bez wystawiania godzinami w ogonkach.

Oj, jaka frajda, uśmiechem się do rozpuku: nawet pan Kosinski, taki nie był znawca zagadnień pol-

skich — a nie przewidział dynamicznego rozwoju naszego handlu społecznego. Czy to nie satysfakcja dla tysięcy rzeszy pracowników ZZ Handlu i Spółdzielczości. Nie mówiąc już o kierownictwie zasłużonego resortu. A pó wtóre, jakie zabawne skojarzenia: skąd ta troska pana Kosinskiego o cytryny? Widziałem w amerykańskim piśmie fotografie autora „Malowanego Ptaka” wraz z żoną. Żona obciążająca pisarza, zarazem jego agent wydawniczy i kierownik reklamy finansujący poczynania piarskie jest arcybogata, energicznie mecenasuje i matkuje swemu młodzieńczemu małżonkowi. A jest od niego w dwójnasób starsza. I ma na dziejcu (mimo całego kunsztu makijażu i dentystyki) taką minę, że same narzucają się skojarzenia już nie z cytrynami, lecz z octem siedmiu ziódeł.

Jeszcze już mowa o cytrynach. Ow Belg — poeta pokazuje mi swą nową, pięknie wydaną książkę. Pytam: jak długo trwa cykl produkcyjny Pana wydawcy. Oczy Belga robią się okrągłe, nie pomyje o co mi chodził. Thuma

czę więc przykładowo: jeśli złożyć książkę w Wyd. Łódzkim w kwietniu bieżącym, to jest nadzieja, że za pół roku zostanie ona (książka) zrealizowana. Potem minie rok na „nabieranie mocy urzędowej” — mówięć prościej, będzie to rok tzw. szuflady wydawcy. A potem pójdzie już piurumem: najwyższe 8—10 miesięcy. Więc w sumie pół roku plus rok plus 8 miesięcy: oto nasz (nie tylko łódzki) cykl wydawniczy.

Oczy Belga robią się w miarę mych obliczeń coraz bardziej okrągłe. Z zazenowaniem mówi, że jego wydawca nie ma w ogóle cyklu wydawniczego i brami to jak przyznaje się do wstydlivej dolegliwości. Biedny poeta, biedny wydawca! Moja książka — mówi Belg — ukazuje się w trzy tygodnie od daty złożenia.

W Spatifie, „Syrence”, „Honoracie”, w Klubie Dziennikarza i Literatów oraz w KMPiK mówi się, że Kazimierz Dejmek wyraził zainteresowanie pewnymi formami współpracy z teatralną Łódzią, i że sprawa ta, niestety, utknęła na martwym punkcie. Plotki mają to do siebie, że w 99 proc. treść ich to

lipa. Ale za to ten pozostały i proc., bo ho, jaki była czasem ciekawymi! Jeśli sprawa, o której słyszałem w Spatifie, „Syrence”, „Honoracie” itd. itd. rozlała się dla widlów prestiżowych (tak głośno stała się rzecz godna ubolewania: wględy prestiżowe nakazują przywrócić Łodzi jej pożyte teatralne sprędy lat 16. Więc może — dla prestiżu — zrezygnować by z prestiżowego traktowania propozycji Dejmka, o której mówi się w Spatifie, „Syrence”, „Honoracie” itd., itd. jak wyżej.

Wystawa Heleny Wallekiej doczekała się w Łodzi swej prasy i dzieki temu do wiedziliśmy się, że twórczość artystki (cytuje) „określić można jako sensualistyczna w treści”, że w jej cyklu Emocje (cytuje) „emocjonalność emanuje z poszczególnych płócien”. Bardzo są pouczające recenzje plastyczne zamieszczone w naszej prasie! Helena Wallecka znana jest zwłaszcza (znów cytuję) „w zakresie malarstwa monumentalnego”. (Pałac Kultury, teatr w Polczynie, Zdroju, siedziba przedstawiciela PRL przy ONZ itd. itp.). Ale — do rzeźby! U nas w Łodzi je-

prace zmieściły się w Salonie Sztuki Współczesnej przy ul. Piotrkowskiej. Po dejmowam, że u nas w Łodzi zmieszczą się w tym Salonie nawet najbardziej monumentalne prace malarskie i rzeźbiarskie. Ścisłej — tylko w tym Salonie.

Nasze nowe osiedla, nowe i stare bloki, nasze na saże i stare oraz nowe frontony gmachów skulecz nie stronią od współczesnej sztuki plastycznej. Argument ostatnie — pustka kasa! — zatławia tę sprawę już od lat. Zresztą dzieki temu argumentowi posiadamy pewien europejski rekord: jeden pomnik przywoda w Łodzi na 250.000 mieszkańców.

Pó łódzkiej „kradzieży stulecia” (w „Magdzie” z libacją na zakończenie) zrealizowanej już przez naszą prasę i TV nabraniem pogardy dla dobrego smaku łódzkiej zdielczajszków. Pili oni bowiem „pod czujnym okiem” chrapiących smacznie strażników — koniak, zatrzyrując sardynkami i czekoladką. Co za zestawienie: sardynki i czekolada! Czyż nie jest to jeszcze jeden dowód upadku naszej kultury kulinarnej?

WACŁAW BILIŃSKI

Redaguje zespół: Halina Bekowa (redaktor techniczny), Wacław Biliński (redaktor naczelny), Konrad Frejlich, Jan Koprowski (dicerownik działu kulturalnego), Andrzej Młokwiecki, Ewa Siemińska, Włodzimierz Stokowski (z-ca redaktora naczelnego i sekretarz redakcji), Teresa Wojciechowska, Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa” w Łodzi. Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 66. Tel. 244-79. Warunki prenumeraty: miesięcznie 4 zł; kwartalnie 12 zł. Redakcja nie zamawiających rękopisów nie zwraca. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, w Łodzi oraz PUPiK „Ruch” — z zaznaczeniem na „Ogłosz.”, Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa” — Łódź, Zwłoki K. Zam. 1363, IV, 1967 r. O-30.



# Ochotnik wolności



To się zdarzyło już przy pożegnaniu, kiedy w wąskim korytarzyku po raz któryś z rządu ścisłałem dłoń gospodarza mieszkania. Całkiem nieoczekiwanie pani domu odwołała mnie do małego pokoju i prosiła, abym spojrział na zawieszoną tam, w drewnianych ramkach, fotografię.

— Jego dzieci — powiedziała tak konfidencjonalnie, jakby chciała w tym momencie zdradzić jakąś tajemnicę.

Ze ściany patrzyli na mnie dwaj chłopcy ze śmiesznie ostrzyżonymi głowami. Wyraz ich twarzy nie mówił prawie nic, retusz i kopiowanie uczyniły go zupełnie nieczytelnym. Ale straszliwa, tragiczna wymowa mają dzieje tego zdjęcia. Skojarzyły mi się z poematem Federica Garcia Lorki, z proroczo okrutnym fragmentem: „Tardará mucho tiempo en nacer, si es que nace, un andaluz tan claro, tan rico en aventura”, co Włodzimierz Słobodnik przełożył: „Czy kiedykolwiek urodzi się jeszcze Andaluzyjczyk z tak burzliwym losem?”

1.

„Przychodźcie z daleka”  
Rafael Alberti

W nocy z 17 na 18 lipca 1936 radio w Ceucie przekazało w eter zdanie: „Niebo nad Hiszpanią jest bezchmurne”. Był to umówiony sygnał faszystowskich rebeliantów. Od tej chwili niebo zaczęło się zasnuwać chmurami nie tylko nad Półwyspem Pirenejskim. Brunatna chmura zagroziła Europie i światu. Wydarzenia w Hiszpanii przez kilka lat nie schodziły z czołówek wszystkich bez wyjątku gazet.

Ale osaczona przez faszystów, pozbawiona pomocy gardlujących o demokrację rządów państw Zachodu, republika hiszpańska znalazła się w ludzkich sercach. Byli ludzie gotowi oddać za nią ofiarę swego życia. Już w sierpniu 1936 r. zawiązał się w Paryżu Międzynarodowy Komitet Koordynacji Pomocy Republice Hiszpańskiej, którego filie działały w najodleglejszych na wet zakątkach świata. Przez lądy i morza, przez kordony policji i straży granicznej na ziemię hiszpańską pomaszzerowali Międzynarodowi Ochotnicy Wolności.

Małeńki, metalowy znaczek z takim właśnie napisem w języku hiszpańskim pokazał mi Józef Rogowski. Jedyna pamiątka tej straszliwej wojny, jeśli nie liczyć blizn po postrzałach.

— Wyruszyłem z domu — zaczyna i urywa w pół zdania. — Nie, daty nie powiem, miałem zanotowaną w dzienniku, który straciłem w obozie.

Wie tylko, że było to pod koniec 1936 roku.

Był robotnikiem, szewcem. Z żoną i dwójkiem dzieci klepał swoją biedę w Tarnopolu. Miał już wtedy 34 lata i należał do partii. Kiedy Hiszpani zagrozili faszystom, postanowił zmierzyć się z nimi, zanim wkroczą do Polski. W wojsku był niezłym strzelcem i nie całkiem zapominał, czego go tam nauczyli. Partia wyraziła zgodę na wyjazd.

Odszedł bez pożegnania z rodziną. Tego wymagały reguły konspiracji. Po prostu któregoś dnia przepadł bez wieści. We Lwowie „na kontakcie” otrzymał dokładne instrukcje. Miał stanąć na czele grupki ochotników i poprowadzić ją przez 5 państw: Czechosłowację, Austrię, Szwajcarię, Francję do Hiszpanii.

— Ludzi tych nigdy dotąd nie widziałem. W grupie byli Białorusini, Ukraińcy i Polacy. Zostałem ich dowódcą, gdyż znałem niemiecki.

Nazwy miejscowości przez które wtedy przechodzili, zwierzały mu już w pamięci. Robi długie pauzy, żeby sobie jednak przypomnieć. Bo był przecież czas, kiedy się trzeba było wyrzec tej pamięci, usunąć ją z najgłębszych zakamarków świadomości.

— Miałem trasę na Cieszyn — mówi wreszcie.

Kontakt prowadził do wioski Dżengielów, może się zresztą ta wioska nazywała inaczej. Od miejscowego szewca dostali korony i bilety do Pragi, i w nocy nielegalnie przekroczyli granicę Rzeszypospolitej.

W Pradze mieli wytychnienie, dostali przewodnika. Ostatnim większym miastem czeskim było Znojmo nad rzeką Dyją. Przewodnik powiedział: „W Austrii uważajcie”. Po stronie austriackiej nie było miasta, w którym można się ukryć, zniknąć w tłumie przechodniów, zaszyć się w jakiejś bramie.

Autobus do Wiednia odchodził niemal spod samej granicy. Była tam jakaś budka i kilka prawie bezludnych domów. Większe skupisko ludzkie to była dopiero osada Haugsdorf. Zajęli miejsca oddzielne, daleko od siebie. Nie chcieli, aby ich rozpoznano jako grupę.

Była godzina 8 rano, kierowca autobusu rozgrzewał motor. Tuż przed odjazdem wskoczył do wozu dwaj żandarmi. „Bitte Ihren Reisepass” — zwrócili się grzecznie.

— Wygarnęli nas wtedy wszystkich szesćciu — wspomina Rogowski.

Cała szóstka zeznała to samo. Tak, pocho dza z Polski, są bezrobotnymi. Słyszeli, że za granicą łatwiej jest o chleb, przyszli tu dla chleba. Żandarmi pieklili się, wszystkich zamknęli w areszcie. Pytali, czy przy padkiem nie są komunistami. „Sind Sie Par teimittel?” — pytali wszystkich po kolei. Okazali się łaskawi. Po dziesięciu dniach uwienienia przynieśli rozporządzenie — za trzymaniu muszą opuścić terytorium Austrii w ciągu trzech godzin.

Do czeskiej granicy poprowadzono wszyst kich pod strażą. Rogowski wdał się w roz mowę z żandarmami. Skarżyli się, że służ bę mają ciężką, o awansie trudno. A może by tak na wino? — zaproponował Rogow ski, kiedy konwój mijał Gasthaus.

Żandarmi też byli za tym. Po kilku kie liszkach pilli zdrowie deportowanych. Prosił! Zum Wohlstein! Kiedy wstali od stołu nie mogli unieść swoich karabinów i ponie śli je ludzie Rogowskiego.

Szedł obok dowódcy konwoju. Powiedział do niego: Ja też byłem kiedyś wojskowym. Chyba ci nie robi przyjemności, kiedy Cze

si zamkną nas do manira? Żandarmi uspra wiedliwił się: Es tut mir sehr leid. Potem pokazał przejście na czeską stronę. Mówił, że jeśli pójdą tym przejściem, straż ich nie złapie. Przywołał szeregowca i podążyli ra zem na Haugsdorf.

Kiedy już pozbyli się żandarmów, Rogow ski skrzyknął swoich ludzi. Powiedział im, że kto chce może wrócić do Czechosłowacji. Ale nikt z grupy się nie cofnął. Noca, orien tując się po szynach kolejowych, ruszyli na południe, aż dotarli do jakiegoś miasteczka, gdzie był dworzec. Przed południem odcho dził pociąg do Wiednia, Rogowski dla wszystkich kupił bilety. Do wagonu wsko czyli w biegu.

„Na kontakt” dotarli bez przeszkód. To warzysze austriacy dali im samochód, aby wygodnie mogli zwiedzić miasto Straussa, jedno z najpiękniejszych miast świata. Obejrzel katedrę św. Stefana, Prater, Schönbrunn. Później powieziono ich na Salzburg zosną do granicy szwajcarskiej.

Gasthaus nosił nazwę „Zum Löwen”. Ję go właściciel od miesięcy już przeprowiał przez Alpy ochotników wojny hiszpańskiej. Ale poznali tylko jego żonę. Była zapła kana. Powiedziała, że przed godziną była tu policja i aresztowała męża. Chcieli prze nocować. „Nein, ich kann nicht” — powta rzała kobieta. Bała się, że policja wróci.

Mała wioska wśród gór, noc niby ciepła, jakieś snopki. Zaszyli w strome przeczekali do nastania szarówki. Przed świtem Rogowski mimo wszystko wrócił do gospody. Zastukał w okno, otworzyła ta sama ko bieta.

Miała piętnastoletniego może syna. Chłopa w lot zrozumiał o co chodzi. Wziął ro wer. Nad granicą, w miejscu gdzie można ją było bezpiecznie przejść, miał zeskoczyć i markować reperacje łańcucha.

Była tam jakaś rzeczka i piękna aleja wysadzana lipami. Wystarczyło zrobić jeden skok, ale zaczęli do nocy, kiedy rzadziej chodzą patroli. Za granicą był duży hotel, zapukali tam o zmroku, właściciel zaprowadził ich na poddasze.

Spali niespokojnie, a jednak mało czujnie, bo gdy się zbudzili, skonstatowali, że ich ubrania zniknęły. Póladny przygotowy wali się do ucieczki. Nagle do drzwi sy pialni zapukał właściciel przynosząc ubra nia, odświeżone i wylatane. „Es wartet je mand auf Sie in der Halle” — powiedział tajemniczo.

W hallu czekał kierowca taksówki. Po wiedział, że zawiezie ich na punkt do Ba zylei.

— Gdy mijaliśmy samochody, szofer opusz czał firanki — przypomina szczegóły tej podróży Rogowski.

Do granicy francuskiej także pojechali samochodem. We Francji już w ogóle nie musieli się ukrywać. Zamieszkali oficjalnie w hotelu dla ochotników hiszpańskich. Po krótkim wytchnieniu w bardzo licznej grupie znaleźli się u stóp Pirenejów, przez gó ry prowadził ich przewodnik.

— Po raz pierwszy postawiłem stopy na ziemi hiszpańskiej w Aragonii — mówi z zadumą Rogowski, jakby to właśnie było najważniejsze.

2.

„Dziś obłoki mi przyniosły przelotne, mapę Hiszpanii”  
Rafael Alberti

— Służyłem w brygadzie Dąbrowskiego, batalion Palafoxa, kompania im. Waryń skiego. Cekaemy. Rogowski mówi szybko i wyraźnie w tonie raportu.

Najśliczniej utkwilo mu w pamięci forso wanie Ebro, rzeki może nawet tak szerokie jak Wisła, tylko bardziej bystrej. Na brzegu zrobił przyrzeczek.

Podszedł pod Gandesę. Było tam skrzyżo wanie dróg, nieopodal cmentarz na wzgó rzu.

— To skrzyżowanie było nawet za Gan desą. Teraz sobie dobrze przypominam. Skrzyżowanie musieliśmy zdobyć.

Poszli do ataku w biały dzień, chcieli za skoczyć faszystów, którzy bali się bezpo średniego kontaktu. Ale trudno było się wdernąć na ten cmentarz, faszysti strzelali zza grobowców, kamienne płyty nagrobko we stanowiły dobrą osłonę.

— Ich ogień przyniósł nas do ziemi, byli śmy w gorszej sytuacji, byliśmy odsonię ci.

Co było potem? Rogowski przełyka ślin ę. Co było potem?

— Widziałem ten karabin. Widziałem wy lot lufy wycelowanej wprost na mnie. Wi działem nawet coś, jakby sylwetkę tego strzelca. To było jednocześnie, komenda: Do ataku! i ciepło, które zaczęło mi się rozcho dzić po całym ciele. Tylko ciepło, bólu nie czułem. Gdyby nasza komenda spóźniła się choćby o mgnięcie, zostabym pewnie na zawsze pod Gandesą. Ale strzał padł, kiedy się podrywałem, oberwałem tylko po udzie. Ocknąłem się na punkcie opatrunkowym, pociągami sanitarnym powieziono mnie do Barcelony. Potem drugi raz poszedłem na front.

Robi długą pauzę, głęboko oddycha. I nagle już innym tonem, spokojnie, staran nie dobierając słowa:

— Widziałem Waltera. Zналиśmy go jako Waltera, nikt nie znał prawdziwego naz wiska generała. Do Madrytu przyjechał z Moskwy. Ale był Polakiem i tęsknił za naszym językiem. Wieg przychodził do bry gady, żeby od czasu do czasu pogawędzić z żołnierzami. W boju, przed atakiem, zaw sze obchodził okopy. Pytał o te niby dro bliżki, od których zależy samopoczucie żoł nierzka. Czy nie jesteśmy głodni, czy mamy zmiany czystej bielizny. Pytał, czego nam potrzeba.

Dlaczego to przypomina? Może o tym za chwile. Tam w Hiszpanii była jeszcze Estre madura, o której Alberti pisał:

„Dzieci z Estremadury chodzą boso. Kto im skradł buciki ze skóry? Dzieci z Estremadury mają twarze poważne. Kto im zabawki kradnie?”

Zadanie było takie: Spód miasta Peraleda nacierać na Sierra Quemada i Sierra Acebuche, zdobyć wzgórze i zepchnąć faszystów do Campillo de Llerena. Faszysti byli umoc nieni, mieli pozycyjną przewagę.

— To było w lutym trzydziestego ósmego, piękny dzień. Wieczorem pod Sierra Quemada podciągnięto całą brygadę, amunicję. Gdy zapadły ciemności bez najmnij szego hałasu zsunęliśmy się w wąwóz, a później wdrapywali na górę. Tuż przed świtem wskoczyliśmy do faszystowskich okopów. Byłem już wtedy dowódcą drużyny, odpowiadałem za ludzi. Ale w czasie ataku poderwało mnie. Runąłem na faszystów na oślep, pierwszy. Potem wezwano mnie do sztabu. Dostałem srogie opeer.

Milczenie. Prostuje się na krześle. I po tem:

— Chciałem zabić. Nie mogłem pozwolić, żeby faszysti uciekli. Za nic nie mogłem pozwolić.

To były dwa dni walk. Faszysti rzucili kawalerię marokańską, kontratakowali. Ba talion im. Palafoxa poniósł ciężkie straty. Zginął jego dowódca Tkaczow.

— Potem przyszła decyzja o rozwiązaniu brygad międzynarodowych. Nieinterwencji przehandlowali republikę faszystom, nas zdemobilizowano. Mielśmy wyjechać do Meksyku, w portach francuskich czekały okręty, ale Francuzi odmówili przejścia przez swe terytorium. Republika umierała. Republika znów nas przyjęła. Brałem udział w ostatnich walkach pod Barceloną.

Głos drży Rogowskiemu, kiedy mówi o klęsce.

— Pamiętam Port Bou. Luty 1939. Granicę Francji przekraczaliśmy pod bombami. Na ostatnim skrawku jeszcze wolnej ziemi hiszpańskiej odbyliśmy defiladę przed jej sztabem. Przemawiał Luigi Longo. We Francji złożyliśmy broń.

3.

„Qui est-ce?  
— C'est la police”  
Rafael Alberti

O Francji zwykło się mówić: Francja de la Liberté. Francja to były obozy dla uchodźców, trzy ciężkie obozy Saint-Printe, Gurs, Campe du Vernet.

— W obozie siedzieliśmy na przeszło tysiąc. Brunatna chmura nadciągała nad Europę, wojna wisiała w powietrzu. Napisaliśmy wtedy list do ambasady polskiej w Paryżu. Chcieliśmy walczyć z Hitlerem, zaofiarowaliśmy swoje życie Polsce. Przyszła odmowa. Za udział w wojnie hiszpańskiej po zbawiono nas obywatelstwa.

Znowu długa pauza. Rogowski sam nie pali, ale przypatruje się jak sobie przypala papierosa jego żona. Druga żona.

— Z pierwszą żoną nawiązałem korespon dencję z Francji. Pisała na adres obozu w Vernet. Dzieci były zdrowe, synowie. Otrzy małem ich zdjęcia, które zaszyłem w mundurze. Małeńkie zdjęcia formatu trzy na cztery i pół.

Robi coraz dłuższe przerwy. Możliwie bu duje zdania, czasem tylko wyrzyna mu się z ust potoczysty strumień słów.

— Hitler zajął Polskę. Siedziałem wtedy w Vernet. Zaczęłem starać się o wyjazd do Lwowa przez ambasadę radziecką. Jedno cześnie nawiedzali nas różni panowie z Lon dynu, obiecywali zwolnienie z obozu, jeśli pójdziemy walczyć z Rosjanami. Francja jeszcze się broniła, potem nastąpiła zupeł na klęska. Vernet leżało w strefie Pétaina. Przez ambasadę radziecką w Vichy znowu zacząłem starać się o wyjazd do Lwowa. Jedna grupa Polaków przy pomocy tego podstępnie wyjechała. Miałem jechać nastę pnym transportem. Ten transport nigdy nie odszedł z Vichy.

Znów długi, prawie denerwujący namysł. — Później była Afryka, Pétainowcy wy wieśli nas na pustynię, gdzieś na północ od Algieru, nie tam nie roso. Dostawaliśmy litr wody na dobę, buraki, 10 deko chleba. Zjadaliśmy nas wszy. Tak było do 1943 roku. Mieszkałiśmy w okrągłych namiotach. Potem alianci zajęli Algier, nasz obóz znalazł się w zonie brytyjskiej. Znowu napisaliśmy do ambasady Polskiej w Lon dynie, znów zaczęli przyjeżdżać różni panowie. Pamiętam hrabię powiatu nazwiskiem Hütten-Czapski. Ten powiedział krótko: „Jesteście dobrymi żołnierzami, wiem. Ale jeśli chcecie walczyć, musicie zapomnieć, że byliście w Hiszpanii”. Nie było chętnych. Potem napisaliśmy do ambasady radzieckiej w Londynie, zawczasu przygotowaliśmy wy kaz wszystkich ludzi. Przygotowaliśmy na pod sam Algier do miejscowości Euka liptus, dano jeść. Niektórzy wtedy eukaliptusali z przejedzenia, nie chcieli słuchać lekarzy.

Rogowski opowiada jeszcze o swej dro dze do Związku Radzieckiego, o statku, któ ry przez Morze Kaspijskie zawiózł ich do Krasnowodsk. W sześć tygodni później zna leźli się w Sielcach, pod Moskwą. Głos mu łagodnieje:

— Spotkaliśmy Waltera, wydał na naszą cześć przyjęcie, dla ochotników hiszpań skich. Wielka sala żołnierskiej stołówki. Za stolami siedzieli prawie tysiąc ludzi. Pytał nas o przejścia w Hiszpanii, o obozy. Był wtedy jakiś zamyślon.

Walter. Dlaczego mówi o Walterze? Losy jego rodziny spręgły się tragicznie z losami Waltera.

— Tu idzie o śmierć — ledwie słyszalnie mówi teraz Rogowski. — Mój umarł wczes niej. Nacjonalisci ukraińscy zakopali ich żywcem do ziemi. Poznałem tych, którzy to widzieli. Zakopali moich synków i żonę. Milczenie bolesne jak krzyk.

— Waltera też zamordowali ukraińscy na cjonalisci — jakby próbuje siły swego głosu. Nie może mówić dalej.

Potem w korytarzu ścisłam jego rękę. Rogowski patrzy mi prosto w oczy, usiłuje się uśmiechać. Patrzę na niego i pamiętam wciąż wiersz Lorki o Andaluzyjczyku.

Czy kiedykolwiek jeszcze będą musieli rodić się ludzie z tak burzliwym losem?

KONRAD FREJDICH